



NOWA KULTURA

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Cena 75 gr — 12 stron

Warszawa, 12 sierpnia 1951 r.

Nr 32 (72) Rok II

W NUMERZE m. in.: — Stefan Zawadzki — Romanca rewolucyjna; Kazimierz Koszutki — Gdziekolwiek jesteśmy; Grzegorz Lasota — Początek wielkiej opowieści; Andrzej Braun — Zakłady chemiczne w Dworach, Ojciec i syn; Stefan Treugutt — O właściwy tekst Odpowiedzi na Psalmy Przyszłości; Artur Międzyrzcki — Spawacze; Stanisław Witold Balicki — Zerowski w teatrach warszawskich (I); Antoni Olcha — W gnieździe niewiedomości Wierzbowców; Jan Galkowski — Dzieciom; Stanisław Marczak-Oborski — „Panna bez posagu” Ostrowskiego w Warszawie; Wawrzyniec Żuławski — „Złota kaczka” Maklakiewicza w Operze Śląskiej; Jerzy Ficowski — Bo bogacze kochają bogatych... Jerzy Hutka — Niewykorzystane możliwości; Szymon Zakrzewski — O pracy „Artosu”; Barbara Loeffler — Piękna książka o dziele Wita Stwosza; Edmund Bora — W Iranie.

JERZY BOREJSZA

STONKA KLĘSK NARODOWYCH

Gdy oddajemy te słowa do druku, proces grupy dywersyjno-spiegowskiej trwa — słuchamy wywodów Tatar, Kirchmayera, Utar, Hermana, Mossora, Nowickiego i obrzydlenie ciśnie się do gardła: jakiej zginiłszy produkt są te typy „generałów”, „pułkowników”, „majorów”?

Zeznaje Nowicki: z lubością opowiada o pensjonatach, domach i autach, które kupowali za subsydia angielskie i francuskie i opowiada, jak umieszczali tam swoje kochanki i żony, jak obdzielali je tysiącami dolarów. Biedny „generał” Tatar, biedny „pułkownik” Nowicki! Za granicą musieli lokować swoje zarobki ze szpiegowskiego łuparnar dolarowego. Ileż to Nowicki wspomina o wódzostwie Kirchmayera, na twarz tego generała pojawia się uśmiech samozadowolenia. Ale ten „wódz”, który zanosił — jak sam zeznaje — materiały wywiadowcze o Polsce amerykańskiemu attaché wojskowemu, jest przecież historykiem: pamięta, że przewrót majowy był najpierw zagadnieniem w angielskiej, amerykańskiej i francuskiej ambasadzie. Kirchmayer pieniężny od swoich wywiadowców — ale brał zarobki grubo pieniądze pisząc „uczzone” książki przeciwko Stanom Zjednoczonym i Anglii i tanując się jak przekupka o honorarium autorskie. Z przekonaniem, z honorem „uczciwej prostytutki” oświadcza wobec sądu, że rezydentowi szpiegostwa amerykańskiego w Warszawie oddawał materiały dotyczące obiektywów wojskowych w Polsce — oddawał je jak prostytutka swemu klientowi z miłości, „uczciwie” i bezplatnie.

Kiedy Kirchmayer wyznaje sądowi, że Mossor z Krakowa przysłał mu do przekazania materiał wywiadowczy, ten ostatni wstaje, aby oświadczyć, że on jeszcze wykaże, iż nie wszystko pisał co wiedział. Przyszłoitka A przeciw Roman dzień przedtem chełpił się, że rezydent szpiegostwa anglosaskiego był wielce z dostarczonego materiału zadowolony...

Spoglądając na twarz Hermana czy Tatar, skrzywioną, przypominającą larwę jakiejś żarzący, słuchamy ich wywodów: rok 1939, wrzesień — to właśnie ci oficerowie w służbie systemu Mościckich, Rydzów, Kasprzyckich przynieśli klęskę narodowi. Podczas okupacji niszczili najlepszych bojowników konspiracji i w interesie obcego imperium i swoich własnych ambicji poświęcili Warszawę i najlepszych jej synów, wywołując powstanie.

Między oskarżonymi siedzą żołnierze, którzy pełnią straż. Zdrowi, rośli synowie robotników i chłopów. W chwilach najbardziej obrzydlwych zeznań, gdy gadaliwiy Roman chełpił się, jak to musiał zabawić sekretarkę Kirchmayera, nie-tajemniczoną w szpiegowską konferencję jej szefa — wystarczyło zobaczyć pogardę dla tego majora malującego się na twarzach prawdziwych żołnierzy Polski Ludowej.

Gdy w przerwie opuszczamy salę przesłuchań w sędzie i wychodzimy na szerokie ulice, nowe place zniszczonej z ich winy i tak pięknie odbudowującej się Warszawy, gdy widzimy szafaty naszej młodzieży z pieśnią i weselem śpiewające na dworzec, by udać się do Berlina — wraca świadomość prawdziwej pozycji i znaczenia tych istot na ławie oskarżonych, którzy tylko ze-wystraszonymi porożami przypominają ludzi; tych kartów i szczerów, żerujących na śmiertelku reakcyjnych odpadków historii polskiej.

Istniały dwie drogi działania Tatar i Kirchmayera. Tatar i jego mocodawcy stawiali pewien czas na Mikołajczyka — obrońcę obszarów i kulaków. Setki tysięcy dolarów przekazywano temu Anglikowi z Kołomyi na zwycięstwo w wyborach. Gdy jednak ta primadonna okazała się przydatna tylko na jeden sezon — grupa dywersyjno-spiegowska przeniosła całą swą uwagę na prawicowo-nacjonalistyczną grupę gomulkowszczyzny, która, jak wyznał osk. Roman w sądzie, miała przecie też „tylko burżuazyjny program”. Gomulkowszczyzna także broniła „specyficzności” polskiej drogi naszej wsi, t. zn. uchronienia bazy reakcji, kapitalizmu na wsi — z tą jednak różnicą, że czyniła to przy pomocy frazeologii lewicowej.

Gomulkowszczyzna demaskowała i zwalczała Mikołajczyka. Za parawanem walki z agentem anglosaskim — jak nieraz przecież określali Mikołajczyka rzecznicy gomulkowszczyzny — oskarżenia mogli tymczasem pracować na rzecz Hankeya i Perkinsa, wykonywać ich dyrektywy. Nie wolno bowiem zapominać, że celem, który udał się w Jugosławii — było poprzez serce wyznawców tej „demokracji ludowej, poprzez dywersję wewnątrz proletariatu i jego partii opanować aparat państwowy.

Alle w żadnym kraju demokracji ludowej o tradycjach walk proletariackich dywersja titowska się nie udała i nie mogła się udać. Serce naszego narodu — ruch robotniczy i jego proletariacka partia były opancerzone latami walk Waryńskiego i Dzierżyńskiego, Nowotki i Bieruta, tradycją Wielkiego Proletariatu, SDKPiL i KPP. I to opancerzone, zdrowe serce naszego narodu, partia proletariacka, zważając i w całości zareagowała od razu, gdy gomulkowszczyzna zaczęła odsłaniać wobec partii swoje oblicze. Grupa gomulkowszczyzny znalazła się poza zdrową partią.

Klęska nacjonalistycznego i prawicowego odchylenia (a każde odchylenie od jasnej, prostej i jedynych dróg do socjalizmu, wytyczonej przez marksizm-leninizm, jest podłożem, na którym legnąć się ośrodki szpiegowsko-dywersyjne) — polityczna klęska — nieuniknienie prowadziła do zdemaskowania agentur imperialistycznych.

Dnia 11 sierpnia 1949 roku przemawiając na III Plenum KC PZPR, Bolesław Bierut powiedział: „Opportunizm, stepienie instynktu klasowego, utrata pionu ideologicznego — oto źródła stylu pracy, który otworzył demaskowanie wroga, prowokatorom, dywersantom, zdrajcom przysparza nie się w nim bohaterów, szarżowanie legitymacją partyjną, tytułami dygnitarskimi w Polsce Ludowej, wywalczonych wspólną ofiarą krwi żołnierza radzieckiego, partyzanta i żołnierza polskiego.”

Agenci i wrogowie ukrywali się za mgłą zgmo-liberalnego, oportunistycznego stosunku do wroga klasowego. Teoria jest ściśle związana z praktyką, mętne wody gomulkowszczyzny pozwalały bezkarnie pływać szpiegowskim łajdakom i nieraz legitymować się legitymacją partyjną. Na ile tego procesu widzimy z całą jaskrawością, ile głębokiego przewidywania było w słowach Prezydenta, gdy na Plenum w listopadzie 1949 r. powiedział:

„Plenum udowodniło z całą oczywistością, że odchylenie prawicowe i nacjonalistyczne oraz śle-

pota polityczna i brak czujności — to dwie strony tego samego zjawiska. Jedno wypływa z drugiego, nawzajem się uzupełniają. W gruncie rzeczy odchylenie prawicowe i nacjonalistyczne musi się łączyć z brakiem czujności i ze ślepotą polityczną, bo ono jest ślepotą polityczną.”

Tito, kreatura reżyserii wywiadu anglosaskiego, usypiał rewolucyjną czujność procesem przeciw agentowi tegoż wywiadu Michajłowiczowi; w stenogramie procesu tego watażki, rozsyłanym przez ambasady titowskie w krajach demokracji ludowej, są fotokopie dokumentów świadczących o współpracy tego „generała” z wywiadem anglosaskim. Tito czynił tak po to, aby na jarmarku mas — syjąc ultralewackie frazesy — przeprowadzić jednocześnie program Michajłowicza z nawiązką, oddając masy biedoty chłopskiej na pożarcie obszar-nikom i kulakom, oddając swój naród jako kolonię imperialistom.

Larwy stonki klęsk narodowych — września roku 1939, powstania roku 1944 i burzenia Warszawy — marzyły o tym, by mocno zdobyć władzę. A wtedy, dywersyjnie rozbijając ruch rewolucyjny, pokazywały swoim mocodawcom, jak świetnie wykonują program Mikołajczyka, program obrócenia Polski z kraju kwitującego do niepodległego — w półkolonię Harrimanów, Edenów, Churchillów i Trumanów.

Ta metoda podporządkowywania sobie narodów, obracania ich w kraje kolonialne, ma swe tradycje w

anglosaskim imperializmie. Harri-

man po raz pierwszy przybył do

Polski trzy lata przed przewrotem

majowym jako gość Witosy, który

z nim ustalił pierwsze „koncesje”.

Ale gdy Piłsudski, wykorzystując

swą agenturę w PPS, posługuje się

falszymi obietnicami wobec kla-

sy robotniczej i zwycięża w prze-

wrocie majowym przeciw siłom Wi-

tosa — sanacja idzie na rękę Har-

rimanowi i Churchillowi bardziej

skutecznie, aniżeli mógł to uczynić

Witos.

*

Żyjemy w dobie, gdy po to, aby

kochać ojczyznę trzeba umieć rów-

nież pogardzać i nienawidzić. Żol-

nierze Wojska Polskiego, budowni-

czynie naszych miast i fabryk, ro-

botnicy i chłopcy — spadkobiercy na-

szych żołnierzy poległych na fron-

cie, synowie i córki Warszawy, któ-

rzy walczyli pod murami ukochanej

stolicy, ich bracia i siostry z pogar-

dą odwracając się od zdrajców, ża-

dając jednocześnie zapłacenia do

reszty rachunku krzywd i klęsk

przeszłości.

Jesteśmy dziś świadkami dwóch

obrachunków: na sali sądowej w

Warszawie toczy się obrachunek

z resztkami odchodzącego świata.

Proces ludzi wojny i śmierci. Na

śledztwach stacjach Berlina od-

bywa się rachunek inny: sił życia

i pokoju. Oba te rachunki, tak w

istocie różne, prowadzą do jedno-

wniosku: mimo wszelkie usiłowania

anglo-amerykańskich imperialistów

i agentów, narody wszystkich kra-

jów zapewnią światu pokój.

Jerzy Borejsza

JERZY SAWICKI

Zza kulis remilitaryzacji Niemiec Zachodnich

W miarę jak proces norymberski zbliżał się ku końcowi, coraz dobitniej ujawniał się antyradziecki charakter polityki amerykańskiej. Anglosaskie koła wojskowe podjęły wówczas całkiem otwarte kampanie, prowadzoną dotychczas w sposób bardziej dyskretny, o ratowanie honoru b. niemieckiego sztabu generalnego.

Chodziło o naturalnego sprzymierzeńca w rozgrywce z obozem postępu. Batalię rozegrano oczywiście etapami. Czujność opinii publicznej należało bowiem uspić.

Pierwszym krokiem było uwinienie oficerów sztabowych od zarzutu, że tworzyli oni organizację przestępczą. Przeciwko temu wyrokowi, wydanemu dzięki stanowisku sędziów anglosaskich, protestował sędzia radziecki Nikiczenko. W zgłoszonym zarzęczeniu podkreślił, że sztab generalny wraz z wąskim kołem wyższych dygnitarzy partyjnych został „powołany przez Hitlera do udziału w ukształtowaniu i realizacji planu agresji nie jako bierny wykonawca, lecz jako czynny współpracownik”.

W tym samym mniej więcej czasie organ armii amerykańskiej zaatakował prokuratorów, zarzucając im, że chcą wprowadzić zasadę, na mocy której zawodowi żołnierze mają być skazani za samą tylko przynależność do sztabu generalnego.

Wynika z tego jasno — twierdzi autor artykułu P. F. Gault — iż panowie ci nie mają żadnego uznania dla osób, których zadaniem jest przygotowanie kraju do wojny”.

I dalej pełen paniki ostrzega: „Wydaje się według nadchodzących wiadomości, że rozważana jest możliwość rozstrzelania lub uwięzienia członków niemieckiego sztabu generalnego oraz zniszczenia klasy junkrów, której się zarzuca, że z jej szeregów w znacznej mierze rekrutowały się niemieckie kadry wojskowe. Na podstawie takiej dziwnej teorii prawa kiedyś rów-

Z III Światowego Złotu Młodych Bojowników o Pokój w Berlinie



Młodzież polska na Złocie Berlińskim w otoczeniu pionierów niemieckich.

Zza kulis remilitaryzacji Niemiec Zachodnich

A jednocześnie sądy anglo-amerykańskie prowadziły akcję zdążającą do rehabilitacji feldmarszałka Lista za zbrodnie popełnione przy zwalczaniu ruchu partyzanckiego na Bałkanach. Przewlekano sprawę gen. Runstaeda i gen. Straussa, znacznie obniżono lub całkowicie darowano karę gen. Falkenhausemowi oraz feldmarszałkom Mannsteinowi i Kesselringowi.

W tej atmosferze generałowie i ich rzecznicy przeszli już szybko do obrony do ataku.

Członkowie b. sztabu niemieckiego wcześniej zorientowali się, że dla ponownego uzyskania wpływu należy natychmiast stworzyć sobie nową legendę, podobną do legendy „o pchnięciu sztyltem w plecy” po pierwszej wojnie światowej. Trzeba było tę legendę rozwinąć, nasycić sensacyjnymi szczegółami, przepleść opisanymi heroicznymi czynami, aby mogła spełnić rolę budującą „prawdy historycznej” dla potomności, a również — w razie potrzeby — dla współczesnych.

„RUCH OPORU” SZTABU GENERALNEGO

Tworząc się na zachodzie legendy ruchu oporu generalicji niemieckiej posiada dziś tak olbrzymią literaturę, że nawet specjalistom trudno ją w całości ogarnąć.

Obejmuje ona dwa powiązane z sobą ściśle mity.

Jeden — o opozycji wojskowej wobec Hitlera, o heroizmie oficerskiego buntu przeciw tyranii, o bohaterstwie śmierci sztabowców w jochach Gestapo.

Drugi — to mit o współpracy od samego początku całego prawie wywiadu b. armii niemieckiej z aliantami, o sabotażowaniu przez ten wywiad wszystkich bez mała żądań i zarządzeń reżimu hitlerowskiego.

W Polsce zajmowano się niestety tym problemem stosunkowo mało. Jeden aspekt tej legendy omówił na podstawie źródłowych materiałów

w swej interesującej pracy Stanisław Szenic.^{*)}

A można już dzisiaj pokusić się o zestawienie charakterystycznej bibliografii tej mitotwórczej literatury o rzekomym heroizmie niemieckich generałów i rzekomej ich opozycji.

Niektóre pozycje doczekały się kilkakrotnych wydań, inne są dziś już w handlu księgarskim prawie zupełnie wyczerpane. Wszystkie przetłumaczone zostały na język angielski lub francuski i w wielotysięcznych nakładach obiegają wśród publiczności krajów anglosaskich opatrzone pochlebnymi opiniami burżuazyjnych polityków lub wybitnych wojskowych tych krajów.

Oto szereg pozycji tej wymownej bibliografii mającej na celu psychologiczne przygotowanie do nowej wojny przez rehabilitację oficerów niemieckich.

H. B. Gisevius: Do gorzkiego finału, 1946, II tomy (w języku niem. angielskim i francuskim).

T. von Schlabrendorff: Oficerowie przeciw Hitlerowi — 1946 (niem.).

R. Pechel: Niemiecki ruch oporu — 1947 (niem.).

H. von Moltke: Listy i wspomnienia — 1947 (ang. i niem.).

U. von Hassel: O innych Niemczech, Pośmiertny pamiętnik z lat 1938—1944; 1946 (Ang., niem., franc.).

A. Martienssen: Hitler i jego admirałowie — 1948 (ang. i franc.).

Karl Michel: Wschód i Zachód — 1947 (niem.).

F. Halder: Hitler jako dowódca — 1949 (niem., ang., fran.).

^{*)} St. Szenic: Legenda o prawicowym „ruchu oporu” w Niemczech hitlerowskich. Sprawy Międzynarodowe Nr 3 1950.

¹⁾ The Army and Navy Journal z dn. 15. XII 1945 r.

²⁾ Die Weltwoche z dn. 21. VII 1950 r.

H. Martin: Halder — Wina czy tragiczny zbieg wypadków — 1949 (niem.).

H. Rothfels: Niemiecka opozycja przeciw Hitlerowi — 1949 (ang., niem.).

C. Ber-Lüth: Rozmowy z Halderem — 1950 (niem.).

H. Guderian: Wspomnienia żołnierza — 1951 (niem.).

H. Speidel: Inwazja 1944 — 1950 (ang., niem.) — wydanie ang.

A. Heusinger: Pod naciskiem sprzecznego rozkazu — 1950 (niem., ang.).

F. Hossbach: Pomiędzy Wehrmachtem a Hitlerem — 1951 (niem., franc.). Nadto wydana w oryginalnym angielskim i przetłumaczona na język francuski i niemiecki praca Liddella Harta „Głos mają znowu generałowie niemieccy” (1949).

A oto w skrócie dzieje tego rzeźmowego ruchu oporu.

Już w 1938 r. szef sztabu generalnego Beck ustąpił ze swego stanowiska, demonstrując ponownie ten sposób opozycji kół wojskowych wobec polityki agresji Hitlera.

W r. 1938 generałowie postanowili czekać — jak głosi legenda — z ewentualnym puczem do pierwszych niepowodzeń na froncie.

W marcu gen. Hennig v. Treschkow i F. v. Schlabrendorff podrzucają do samolotu Hitlera bombę zegarową, która jednak nie wybuchła.

W końcu 1943 r. Stauffenberg organizuje spisek zakończony — jak wiadomo — fiaskiem dnia 20 lipca 1944.

Do tego dochodzą dwie odrębne niewielkie grupy wokół Moltke (tzw. Kreisaukreis) i wokół Hanzy Solf.

Dziwnym trafem ogłoszony w tych publikacjach program „ruchu oporu” pokrywa się niemal całkowicie z hasłami propagatorów Unii Zachodniej i paktu atlantyckiego. Tak np. program opracowany przez grupę Helmuta von Moltke, nazwaną „Kreiem Kreisau” głosił ograniczenie suwerenności poszczególnych państw, decentralizację Niemiec i przystąpienie Niemiec do Federacji Europejskiej. Polskiego czytelnika zainteresuje niewątpliwie, że według tego planu „Federalne Niemcy miały na wschodzie sięgać do granic cesarstwa niemieckiego z r. 1914”.

Allan Dulles, który bardzo dokładnie omawia ów program i pozytywnie się doń ustosunkowuje zamieszcza w swej książce jakże znamienne ostrzeżenie: „Zamknijmy Niemców w przestrzeni tak okrojonej, że ani dziś, ani w najbliższej przyszłości, nie będą się mogli wyżyć lub pracować w jakikolwiek użyteczny sposób”.

Liddell Hart kończy zaś swe rozważania apoteozą sztabu niemieckiego. Pisze dosłownie:

„Generałowie niemieccy byli w czasie tej wojny najlepszymi świadkami i punktem widzenia fachowego najdoskonalsi. Brakło im tylko fantazji i szerszego poglądu na zagadnienia, co by jeszcze bardziej podniosło ich wartość. Lecz gdyby zostali filozofami, przestaliby być dobrymi żołnierzami”.

Po strasznej wojnie, po tylu procesach, ekspert angielski nie ma już więcej nic do zarzucenia. Innych informacji nie posiada...

Natomiast jest na tyle dobrze poinformowany, aby stwierdzić, że klasa pod Stalingradem nastąpiła tylko z winy Hitlera, bo gdyby generałom pozostawiono swobodę działania, mogliby odnieść zwycięstwo(?). Wie też, że byli w opozycji od początku i z faszyzmem się nie godzili.

Twierdzi również z tonem wyrzutu, że w czasie procesu norymberskiego pokutował jeszcze pogląd, jakoby sztab generalny — tak jak przed rokiem 1918 — odgrywał decydującą rolę w niemieckiej polityce. „Powzięty, oparty na uprzedzeniu, pogląd — twierdzi autor — przeszkodził już raz rządowi W Brytanii Stanów Zjednoczonych w udzieleniu im właściwym czasie skutecznej pomocy rzeczowi oporu w Niemczech, który wśród kół wojskowych od dawna przygotowywał upadek Hitlera”.

Tak wygląda pełne rozgrzeszenie wyższego dowództwa niemieckiego udzielone mu przez Liddella Harta. W jego słowach zawarte jest również wezwanie pod adresem wojskowych angielskich i amerykańskich, by tym razem już nie pominieli okazji współpracy z „najlepszymi generałami świata”.

Specjalne znaczenie posiadają jednak dla celów ideologicznego przygotowania remilitaryzacji Niemiec książki, które rozbudowują legendę o gen. Rommlu. Wojskowi doradcy Adenauera w Bonn, generałowie Speidel i Heusinger, należą bowiem do najbliższych współpracowników Rommla. W ten sposób część glorię feldmarszałka spada oczywiście na nich. Rommel przedstawiany jest w tej literaturze jako wieloletni opozycjista przeciw Hitlerowi i równocześnie jako rycerz bez zmyły.

„Rommel jako wódz i dżentelmen” — brzmi niemiecki tytuł tłum.

maczonej z angielskiego monografii o Rommlu, piora gen. brytyjskiego Younga, do której przedmowę napisał marszałek brytyjski Auchinleck. Rommel jest w niej uosobieniem wszystkich cnót dobrego żołnierza, przeciwnikiem Hitlera, a przede wszystkim dżentelmenem. Czyż więc jego uczniowie oraz współpracownicy nie zastęgują na zaufanie i szacunek dżentelmenów z Londynu i Waszyngtonu?

W samej Anglii sprzedano 170.000 egzemplarzy tej książki. Fox-Film zakupił prawo filmowania życia i śmierci Rommla za 100.000 dolarów i kręci film przy pomocy gen. Younga.

H. W. Schmidt wydał w r. 1951 w Londynie książkę pełną uwielbienia dla wodza kampanii afrykańskiej — „Z Rommlem na pustyni”.

Także testament Rommla zostaje przekazany potomności jako świad.



Kłeskie spowodował wyłącznie Hitler. Wina jego leży w tym, iż nie słuchał swych generałów, którzy byli nieomylni — oto treść książki b. szefa sztabu niemieckiego, Haldera.

dektwo antyfaszystowskich przekonań feldmarszałka. Ma on ponadto dowiedzieć, że chociaż Rommel nie należał do wąskiego klanu sztabowców, wśród których uchodził zawsze za parweniusza, to jednak rycerskimi cnotami w pełni im dorównał. Opracował ten testament w r. 1950 S. Westphal w książce pod tytułem „Armia w kajdanach”. Zebrane z papierów po szefie sztabu Rommla”.

Generałowie „zachodnio-niemieckiej” republiki Speidel i Heusinger otrzymują w ten sposób po Rommlu klejnot szlachecki.

Od początku roku ten odłam b. generalicji niemieckiej otrzymał już nawet swój własny organ. W styczniu bowiem ukazał się w Bonn teoretyczny miesięcznik przyszłej armii zachodnio-niemieckiej. Tytuł jego brzmi: „Europäische Sicherheit”. Przegląd poświęcony jest wiedzy wojskowej: Wehrwissenschaft.

Słowo wstępne do pierwszego numeru napisał sam kanclerz Adenauer, a generaloberst Hans Friesner wezwał tam b. członków Wehrmachtu do porzucenia zajęć cywilnych i powrotu do służby wojskowej.

W numerze drugim zaś można znaleźć stare, znane już od dawna nazwiska. Ariykuł wstępny poświęcony jest rozwojowi strategii wojny zaczepnej od Clausewitza do Guderiana, dalszy — pochwałą pod adresem przyszłego szefa Esenhowera.

Całość wreszcie kończą słowa podziękia dla angielskiego eksperta wojskowego, oślawionego Liddella Harta, za jego książkę poświęconą byłym generałom pod tytułem: „Nareszcie mogli przemówić”.

Adres redakcji: Bonn, Post Bundeshaus. Pismo mieści się więc w samym tzw. parlamencie. Podobne czasopismo wydawał niemiecki sztab generalny przed agresją hitlerowską.

W tym czasie dla dyscypliny p.n. „Wehrwissenschaft” otwarto również katedry na uniwersytetach w Berlinie, Heidelbergu i Monachium. Sztab generalny i finans. szef nieczego widać nie zapomnieli i niczego się nie nauczyli w czasie ostatniej wojny.

ASEKURACJA NA PRZYSZŁOŚĆ

Łącznik wywiadu amerykańskiego podczas II wojny w Bernie Allan Dulles wydał jeszcze w r. 1947 książkę pt. „Podziemie niemieckie” (tłum. na język niem., franc. i włoski), która w wielkiej mierze stworzyła podstawę do legendy o rzeźmowej samodzielnej antyhitlerowskiej polityce kierownictwa niemieckiego wywiadu wojskowego.

Ulubioną postacią tej literatury stał się szef tegoż wywiadu admirał Canaris, stracony po nieudanym zamachu w lipcu 1944. Tytuł książki K. H. Abshagena o nim brzmi: „Canaris jako patriota i obywatel świata” (niem. i franc.). W ten sposób b. szef wywiadu hitlerowskiego podniesiony zostaje równocześnie do rangi „dobrego” Niemca i prekursora paktu atlantyckiego pod egidą USA.

Z książki tej wynika, że wrogię akty sabotażu, które ten wywiad organizował, były dokonywane, np. w Anglii i Stanach Zjednoczonych, wbrew woli tegoż wywiadu. Canaris sam oczywiście od chwili założenia wywiadu miał tylko spiskować przeciwko Hitlerowi i współpracować z Amerykanami. Wniosek stąd niewątpliwie prosty: jego wierni podwładni i uczniowie, którzy wyszli z takiej „ucieczki szkolnej”, mogą być dziś śmiało przyjęci na nową wybraną służbę.

W Londynie oślawiony Gollancz wydał w r. 1951 książkę I. Colvina pt. „Szef wywiadu”. Autor opo-

wiada, że pytał pewnego znanego podsekretarza stanu, jak pracował angielski wywiad podczas drugiej wojny światowej. Odpowiedź brzmi: Doskonale. Mielśmy niezłą obsadę. Pracował dla nas sam admirał Canaris.

Pamiętniki Canarisa nie zostały dotychczas ujawnione. Jedną kopię powierzył swojemu przyjacielowi, płk. Schraderowi. W czasie procesów przeciw zamachowcom lipcowym żona Schradera spaliła kopię, by nie wpadła w ręce Gestapo. Druga kopia znajduje się rzekomo w Waszyngtonie. I chociaż autor nie miał tych dokumentów, a Canaris był człowiekiem zamkniętym i niedostępnym, twierdzi on jednak stanowczo, że od Monachium Canaris był przeciwnikiem Hitlera. On też miał ostrzec Norwegię i Holandię o szykującej się inwazji na te kraje.

W tej chwili prasa zmarszalizowanej Europy drukuje przy akompaniamencie niezwyklej reklamy wyjątki z książki Curta Riessa o Canarisie pt. „Tajemnica admirała”.

W Wiedniu pracownik tegoż wywiadu Walter Hagen wydaje w roku 1950 obszerny tom wspomnień i materiałów dotyczących wschodniej i południowej Europy, pt. „Tajny front”.

Wszystkie te wydawnictwa mają unacznąć imperialistom, jakich to doskonałych i dobrze poinformowanych współpracowników mogą mieć w b. członkach wywiadu niemieckiego.

Wspomnienia Giseviusa służyć miały temu samemu celowi oraz legendzie o wspólnym ruchu oporu wywiadu i generalicji. Legenda ta, celowo rozpowszechniana na zachodzie, utrzymuje się upórco.

O prawdziwości „spiskowca” Giseviusa najlepiej świadczą zeznania Brauchitscha:

„Gisevius kłamie. Sądzę, że każdy, kto mnie choćby trochę zna, wyśmieje jego twierdzenie, że ja, marszałek Niemiec, mogłem kiedykolwiek rozmawiać z nieznanym mi młokosem na temat zamachu przeciw głowie państwa”.

W procesie zaś denazyfikacyjnym Hjalmar Schachta zeznał dnia

GENERALOBERST GISEVIUS

Kann Westeuropa
verteidigt werden?

„Czy można obronić Zachodnią Europę” — oto tytuł najnowszej książki generała hitlerowskiego, Guderiana, w której swoim amerykańskimi opiekunom ofiarowuje usługi doradcy przy remilitaryzacji Niemiec Zachodnich.

16.IV.1947 Rudolf Diels, poprzednik Himmlera, b. kierownik pruskiej policji politycznej:

„Gisevius prosił Himmlera i mnie o przyjęcie do służby w Gestapo. Zaarrestowany zostałem przez Gestapo tylko na skutek pisemnego doniesienia Giseviusa, który przez cały czas wojny był wiernym agentem niemieckiej policji politycznej”.

Tak przedstawiają się od strony moralnej sylwetki autorów „pamiętników”, mających wybieleć dowództwo armii hitlerowskiej. Ale nad utworzeniem mitu o opozycji i nieomylności generałów niemieckich współpracuje z nimi potężny aparat propagandowy imperialistów amerykańskich, jak również konsekwentnie i systematycznie cały zespół reakcyjnych historyków, filozofów i pisarzy niemieckich.

POSŁUSZNY GENERAL

Są jednak generałowie, którzy wprawdzie talentem przewyższają grupę z rzeźmowego „ruchu oporu” skupioną wokół Speidla i Heusingera i są mile widziani przez imperialistów amerykańskich, lecz w żaden sposób nie mogą wejść do nowej armii atlantyckiej w aureoli spiskowców przeciw Hitlerowi. Do takich generałów należy m. in. Guderian. Guderian w czasie puczu był odsunięty przez Führera. Mimo to zwrócił się do niego o pomoc Goebbelsa na co Guderian natychmiast przystąpił do tłumienia niezadowolonych oficerów. W nagrodę otrzymał sześćsto sztabu na froncie wschodnim, gdzie współdziałał przy zniszczeniu Warszawy.

W studium pt. „Od Clausewitza do Guderiana” czynią mu konkurencję z grupy Speidla i Heusingera wyraźny zarzut za pomoc udzieloną wtedy Hitlerowi. Guderian obrał przeto inną drogę dla swej rehabilitacji. Twierdzi, że kontynuuje tradycję wierności żołnierskiej nawet na straconym posterunku. Słowo żołnierskie jest dla niego ważniejsze niż własny interes. Jeżeli zatem nawet obecnemu państwu złoży przysięgę wierności — przysięgi tej dotrzyma. Jego książka „Wspomnienia żołnierza” (1951) ma wykaazać imperialistom olbrzymią wiedzę fachową autora, zwłaszcza w za-

*) Europäische Sicherheit. Rundschau der Wehrwissenschaft Nr 2/1951.

kresie działań wojsk lądowych na Wschodzie i gdy idzie o niewzruszalną postawę wierności żołnierza, który mimo przeciwności losu, niewdzięczności i szaleństwo swego Führera zachował mu wierność do ostatniej chwili.

Tak wiernego kondotiera należy chyba cenić. Należy go tylko kupić za odpowiednią cenę. Cenę tę podał Guderian do wiadomości wkrótce po ogłoszeniu swych wspomnień. W dwóch dalszych bowiem pracach z r. 1951 określa imperialistycznym zleceniodawcom cenę, za którą można go kupić wraz z towarzyszącymi: należy dopuścić ich do uczty hien wedle zasady: „Równe ofary, równe ryzyko, równe szanse”.

W wydanej kilka miesięcy temu, niesamowitej objętości książce Waltera Goetha: Niemiecki Sztab Generalny. Dzieje i organizacja od 1657 do 1945 — zastęp najwybitniejszych reprezentantów sztabu rozpoczynają Scharnhorst, Gneissau, Clausewitz, Moltke, a kończą Ludendorff, Seeckt, Beck, Halder i Guderian jako wzór fachowości i wierności. Jaka „grupa kierownicza” — zapytuje autor — stała kiedykolwiek przed tak trudnym zadaniem? Jaka grupa na ołtarzu swych ideałów złożyła takie ofiary, jak sztabowi oficerowie niemieccy zawsze wierni do końca?

Oto druga grupa pretendentów do kierowania armią niemiecką w ramach paktu atlantyckiego.

PRETORIANIE FUEHRERA

W dniu zamachu na Hitlera dowódcą tzw. Wachtbatalionu w Berlinie był pewien major — Otto Ernest Remer.

Gdy spiskowcy wydali mu zarządzenie aresztowania członków SS i partii, nasunęły mu się wątpliwości i postanowił zatelefonować oświadczenie do Goebbelsa, który z kolei pociągnął go natychmiast z samym Führerem.

Führer upoważnił majora Remera do stumienia puczu, co ten z całym oddaniem przeprowadził. W nagrodę został mianowany pułkownikiem, a w kilka dni później generał-majorem. Dziś stoi na czele ruchu neohitlerowskiego w Niemczech Zachodnich. Ow właśnie ex-generał Remer odniósł pod okiem władz amerykańskich zwycięstwo w wyborach w Dolnej Saksonii.

Kiedy członkowie dywizji Gross-Deutschland odbyli niedawno w Kassel swój zjazd, Remer i jego grupa chcieli opanować nową multitalną organizację. Odgrywają oni olbrzymią rolę w „Bruderschaft”, związku b. hitlerowskich oficerów. Tę trzecią grupę charakteryzuje najlepiej list, wysłany niedawno do gen. Juina, głównodowodzącego europejskich sił lądowych armii atlantyckiej. Oto wyjątki z tego pisma:

„Panie generale, jeśli można wnieść informację prasowym, został pan powołany, aby pewnego dnia poprowadzić armie zachodnie do walki w obronie narodów europejskich. Jeśli uda się to panu, będzie pan figurował w historii obok najbardziej światłych strategów. Jeśli się panu nie powiedzie, to może być pan pewien szubienicy Norymbergi... Nie zamierzamy dyskutować tutaj formy armii europejskiej. Naszym zdaniem obecne negocjacje nie przyniosły jeszcze wyników, które zasługiwałyby na uwagę prawdziwych żołnierzy godnych tego imienia... Do Niemców nie należy domagać się równości praw, inne państwa Europy Zachodniej winny wykazać, czy są w stanie dościsnąć Niemcy w ich walce i ich osiągnięciach w wojnie przeciw bolszewizmowi. Jako żołnierz, zna pan tę walkę i rozumie pan ten punkt widzenia. Każda armia posiada swoją duszę i swój charakter i nikt nie może jej pogwałcić. Jednakże w Norymberdze nie tylko dusza armii niemieckiej została ska-



B. generałowie hitlerowskie otrzymali w Bonn swój własny organ, poświęcony zagadnieniom agresji i remilitaryzacji.

lana, ale również dotyczy do innych armii europejskich, ponieważ ich przedstawiciele zgodzili się zasiadać przy tym samym stole, co mocarstwo, uważane dzisiaj za wspólne wroga... Panie generale, tak długo, jak długo utrzyma się duch Norymbergi, będzie pan mógł zgrupować wokół siebie zaledwie garstkę najemników, którzy mniej lub więcej dobrze zapewnili pański odwrot... Nie zdoła pan usunąć z koszar niemieckich portretów generałów niemieckich, którzy zostali powieszani lub uwięzieni, bez ściągnięcia na siebie nienawiści oficerów niemieckich... Nie można nie doceniać solidarności i więzów braterstwa, które łączą dzisiaj żołnierzy niemieckich z tymi, którzy znajdują się jeszcze w więzieniach w pańskim kraju za czyn, jakie pewnego dnia będą codziennie popełniać pańscy żołnierze w Rosji w walce z wrogiem...”

Oto co ofiaruje ta grupa oficerów hitlerowskich amerykańskiemu imperialistom: doświadczenie w mordowaniu ludzi oraz wypróbowane, długoletnie rzemiosło niszczenia.

Trzy odłamy b. sztabu niemieckiego konkurujące w swych ambicjach, lecz w swej istocie identyczne, chcą amerykańscy imperialiści skupić w szeregach nowej armii atlantyckiej.

Zadna legenda jednak nie potrafi przesłonić uświadomionym masom Niemiec faktu, że owi zbankrutowani junkrzy, bezrobotni sztabowcy i ocalałe elementy hitlerowskie dwukrotnie w ciągu półwiecza zepchnęły naród na dno upadku i nędzy.

Zaden też mit nie podważy oczywiście faktu, że sztab niemiecki został smrotnie pobity przez bobohaterską Armię Czerwoną.

Przytoczone wyżej fakty są wymowną ilustracją rozpaczliwych wysiłków wczorajszych i dzisiejszych agresorów, by rzucić zasłonę zapomnienia na ich niedawną klęskę, by umożliwić rozpętanie nowej pożogi wojennej.

STEFAN ZAWADZKI

ROMANCA REWOLUCYJNA

Zegar
na maurytańskim rynku w Barcelonie
wydzwonił szóstą,
Policja
fabrykę otoczyła kordonem,
w fabryce pusto.

Tłum robotników
z całego miasta
w gardzielach ulic
gniewem narastał.

Wyszli dziś wszyscy
z mrocznych uliczek:
z przedmieścia
Santa Maria Felice,
z nędznych lepierek,
z legowisk głodu.
Nabrzmiął poranek
falą pochodu.

Kwietniowy
błękot nieba
drżał nad dachami rozpięty.
Wolności.
Pracy i chleba.
Wolają transparenty.

Mileży lud
zaciskając pięści
na barcelońskiej ulicy.
Złowieszczy krokiem
nagle zachrząścił
czarny batalion policji.

Stary bruk Barcelony
od krwi jeszcze nie ostygł,
znów lufy wymierzone
kierują w ludzi prostych.

Nam
nie zdążacie
okrzyku
selwą wpełznąć w usta.
Umiemy śmiercią gardzić
i potrafimy
za krew zapłacić
tak, jak nad Ebro
w trzydziestym szóstym
placili wam
dynamitardzi.

KAZIMIERZ KOSZUTSKI

GDZIEKOLWIEK JEŚTEŚMY

Mój dziadek ósmy krzyżyk dźwiga,
lecz starem go nazwać — któż z nas śmiałyby?
W ogrodzie sadi młodziutkich arzew łodygi,
choć nie będzie już z nich chyba zbierał grusz ni jabłek.

Nie dziedzicę po nim hektarów ni fabryk,
chyba tylko pewne rysy twarzy,
lecz miłość ziemi i życia,
i śmierci pogardę
synowi swemu jak sztandar przekazał.

I horyzont
od najrozleglejszych włości szerszy,
i cenniejszy niż paczki akcyj, odsetki dywidend,
nasz udział w budowie domów, ludzi i wierszy
w imię dni, które idą.

Kochamy rozmach i rozpęd i pośpiech,
dziewczęta i książki i kwiaty i dzieci w ogródkach,
choć nieraz nocy spokojnie nie dośpisz,
choć nieraz ciężko i często trudno.

Co do mnie — wiecie, czego najgoręcej pragnę
wierszem wspierać trud wasz, przyjaciele —
żeby trudności łamać pomagał wam,
z wami radością i troską jak chlebem się dzielił.

I kiedy dzisiaj znowu grożą nam
chcą miasta, książki i serca zmienić w dym i popiół —
nie wolno rąk bezzadnie założyć,
pozwolić, żeby dom nasz znowu pożar objął.

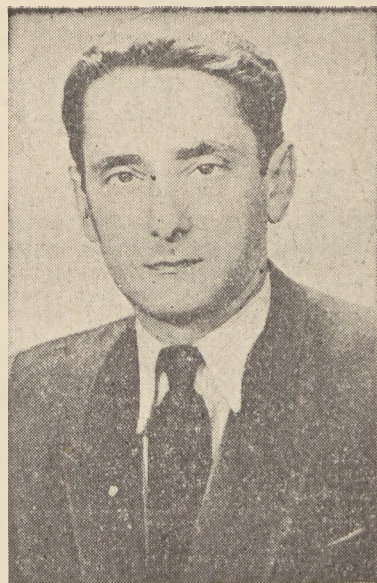
Niech się nie wazą zapalać lontu!
Nie zaskoczą nas skłóconych, zwyciężonych rozdartych —
ciąśniej niż palce obu rąk
na drzewcu sztandaru
zewrżemy wokół Partii
szeregi Narodowego Frontu.

Każdy z nas jest żołnierzem na froncie:
broni uśmiechu dziecka,
kwiatów, książek i dziewcząt,
tego co nazywamy po prostu szczęściem.

Jerzy Sawicki

GRZEGORZ LASOTA

POCZĄTEK WIELKIEJ OPOWIEŚCI



Marian Brandys

Jeżeli literaturę możemy przyrównać do armii walczącej o wszechstronne i jak najgłębsze odzwierciedlenie naszej rzeczywistości, reportaż literacki jest zwiadem tej armii. Czujnym zwiadem, który kroczy na czele zwartych kolumn, torując im drogę, zwiadem, który pierwszy wkracza na nieznane tereny, pierwszy stacza potyczki z wrogiem i jest narażony na setki niespodzianych niebezpieczeństw.

Nie ma armii bez zwiada. Nie może być w naszych niecierpliwych czasach dobrej literatury bez literackiego reportażu. Reportaż „chwytliwy” rzeczywistość na gorąco, daje zgodny z rzeczywistością obraz artystyczny, posługuje się autentycznymi postaciami, prawdziwymi wydarzeniami, rzadko wplatając w autentyczne tło fikcyjne wątki.

Szczególny typ reportażu literackiego uprawia Marian Brandys. Jego nowa książka*) daje niemal dokumentarny obraz budowy pierwszego socjalistycznego miasta, Nowej Huty — przy jednoczesnym przedstawianiu fikcyjnych postaci i fikcyjnych zdarzeń stanowiących wyraz literackiej typizacji. Kilkanaście reportażów Brandysa układa się w całość powiązaną nie tylko wspólną tematyką, lecz pewnym ciągiem fabularnym i wspólną występującą postaci.

Przez rok podkrakowska równina pokryta szachownicą ubogich poletek przemieniana została w olbrzymi teren rewolucyjnej budowy. Na miejscu walących się chatynek wyrósł blok, tam, gdzie były „olne ścieżki, błyszcząca wstęga szosy, tam, gdzie szumiała zieleni pól, wyrósł w ziemi linie szyn kolejowych. Ruszyły potężne dźwigi i koparki, zaczęły samochody... Nowa Huta przestała być planem i marzeniem. Zaczęła stawać się faktem.

Marian Brandys na kartkach swej książki przedstawia krok za krokiem najważniejsze etapy tej budowy. Lecz „Początek opowieści” nie jest książką o planach i wykresach, technice i ekonomii. Pisarza w pierwszym rzędzie pasjonują ludzie, i oni, ich przemiany, ich droga stanowi ośrodek zainteresowań autora.

Spokojnie, bez głośnień zachwytów, pisarz przedstawia wielkość przemian realizowanych w terenie, w walce z przyrodą i wrogiem klasowym. Z utonąłą dumą mówi o wysiłku setek umysłów i rąk torujących drogę do potężnego miasta i potężnej huty. Przed naszymi oczyma pojawia się wiele postaci, postaci budowniczych Nowej Huty, trafiające różniczkami psychologicznymi, narysowane w dialektycznym rozwoju. Autor przedstawia przemiany w świadomości swych bohaterów jako rezultat wpływu procesu pracy i przezwyciężania trudności na postawę ideowo-moralną. Tę prawdę Brandys formułuje następująco: „Ludzie dźwigali mury. Mury dźwigały wzwyż ludzi”.

Wielorakość typów ludzkich, barwne przedstawienie ich indywidualnych losów służy Brandysowi do pokazania typowych postaci w typowych sytuacjach i konfliktach. Bez względu na najlepszą postać w „Początku opowieści” jest stary murarz Malaga. Dzieje Malagi, konserwatywnego majstra murarskiego, nieufnego wobec wszelkiego nowatorstwa, sprzeciwiającego się kształceniu młodzieży — wyrastającego wreszcie na przodownika pracy — przekonują prawdą artystyczną, autentycznością realiów. Znakomita jest scena, w której Malaga trzymając w ręku gazetę z opublikowaną na jej pierwszej stronie własną fotografię... przyznaje, że nie umie czytać. Przyznaje się do faktu, który ukrywał wiele lat. A przecież chce przeczytać co o nim w gazecie napisali... I Malaga zaczyna się uczyć.

Murarz Malaga, zgryźliwy inżynier-geodeta (wiecznie zgrzeszący na nieporządku, a z serca głęboki entuzjasta budowy), młodzi chłopcy wiejski Kubik i Począj zdobywający w Nowej Hucie życiowe doświadczenie i zawodowe kwalifikacje — ilustrują niejako przetłumaczony na język literackiego konkretny proces powstawania socjalistycznego narodu. Na budowlu socjalizmu stary inżynier poznaje prawdę naszej epoki, to tu Malaga odrzuca stare nawyki myślowe, to tu prowadzi i przoduje w działaniu członkowie Partii i młodzi ZMPowcy: Walaszczyk, Kulbar, Maciejko, to tu wreszcie wróg za wszelką cenę chciałby sparaliżować nasze wysiłki. W znakomitym obrazie Brandys ukazuje bezsilną wściekłość kulacką, która wyraziła się w polamaniu palików wymierzających nową szosę i... potłuczeniu termosy ekipy inżynierskiej.

Książka Brandysa powstała z bezpośredniego kontaktu z budową, z życiem Nowej Huty. Źródło jego osiągnięć należy właśnie szukać w ścisłym zespole z ludźmi Nowej Huty, w dokładnym zgruntowaniu zagadnienia. Umiął on w sposób wzruszający, z dużym wyczuciem pisarskim pokazać konflikty, załamania i zwycięstwa swoich bohaterów. Konflikty psychologiczne i

polityczne, stanowiące dramatyczne węzły poszczególnych opowiadań („Piotr i Maria”, „Sprawa Tyrackiego”) nie są tu mechanicznym przeniesieniem starych konfliktów, starych konwencji literackich w nowe tło i nowe środowisko, lecz są nowe, wydobyte wprost z życia.

W opowiadaniu pt. „Piotr i Maria” Brandys zapoznaje nas z losem młodego małżeństwa Kulbarów. Kulbar, pełnomocnik ZG ZMP dla spraw Nowej Huty, nie ma dość czasu, by móc poświęcić się sprawom domu i żony. Jego żona, Maria, nie potrafi z początku zrozumieć odpowiedzialnej pracy swego męża. Jest rozhisteryzowana, puściutka. Piotr nie umie się nią zająć. Dzięki pomocy starego partyjniaka i robociarza Walaszczyka małżeństwo Kulbarów odzyskuje zakończoną równowagę i rodzinne szczęście.

W szkicu pt. „Sprawa Tyrackiego” spotykamy się z poważnym problemem nienależyciego zorganizowania współzawodnictwa pracy i lekkomyślnego wysuwania na sztafardowe miejsce groszobora, zarozumialca jako przykładu dla młodzieży. Brandys słusznie krytykuje brak w pracy polityczno-propagandowej ZMP wykazując, że podstawą pracy organizacji młodzieżowej jest wychowanie. Nie potrafiąco natomiast wychować należyście rozumiałego, pełnego fałszywych ambicji, junaka Tyrackiego, którego sukcesy produkcyjne podyktowane były żądzą sławy.

Junak Tyracki i jego sprawa stanowią ilustrację, występującą niekiedy jeszcze, powierzchownego stosunku do współzawodnictwa. Spotykamy się przecież z tym, że tytuł przodownika pracy, przynosząc awans społeczny, wzrost autorytetu, popularność nazwiska i osiągnięć przodownika, jednocześnie daje pewne możliwości demoralizacji, „rekordomanii”, oderwania się od środowiska. W olbrzymiej większości nasi przodownicy pracy to ludzie ideowi, o wysokim poziomie politycznym i moralnym. Jednakże spotykamy się — szczególnie wśród młodzieży — ze zjawiskiem zawrotu głowy od sukcesów. Tyracki i jego sprawa, znakomicie przedstawiona przez Brandysa, ukazuje mechanizm błędów popełnianych w pracy politycznej, błędów wykołających człowieka. Postać Tyrackiego i jego działania zostały nakreślone z dużą siłą wyrazu. Odwaga w przedstawieniu problemu Tyrackiego nie umniejsza jednak błędów Brandysa, wyrażającego się w braku odpowiednio sugestywnego przedstawienia. Żadna z postaci pracujących na budowie (spośród młodzieży) w gruncie rzeczy nie została przedstawiona z taką sugestyw-

nością jak Tyracki. Główny błąd tego szkicu jak i całej książki polega na tym, że Marian Brandys nie potrafił pokazać typowej sylwetki młodego, pełnego zapału przodownika pracy, nie potrafił stworzyć w pełni przekonującej sylwetki pozytywnego bohatera.

Tym bardziej, jak przykry zgrzyt brzmią dwuznaczne słowa zakończenia sprawy Tyrackiego:

„Następnego dnia w magazynie brygady na triumfalnych transparentach zamalowano pracownicę czerwona farbą napisy: „Bierzmy przykład z kolegi Tyrackiego” i „Idźmy śladem kolegi Tyrackiego”. Piłta trzeba było oszczędzać, a byłka już nowe nazwiska, które można było wpisać na transparenty w miejsce nazwiska upadłego faworyta...”

Niestosowność tego obrazu mogącego sugerować, iż na miejsce Tyrackiego przyjdą tacy sami, podobni — nie wymaga komentarza.

*

Do plastycznych i wzruszających postaci w książce Brandysa trzeba zaliczyć również Począj, młodego chłopca wiejskiego, który przewydował do brygad z zapadłej wsi i koniecznie pragnął zostać listonoszem. I znowu marzenie stało się faktem...

„Dla Henryka Począja od chwili zrozenia go listonoszem w brygadzie całe życie naprtało smaku miodowego piernika, który mu kiedyś przywiózł dziadek z Kielc, i który w dzieciństwie był dla niego miarą najwyższej dobroci, jakiej można w życiu zaznać”.

Okazało się jednak, że marzenia rosna, potężniejsza wraz z Nową Huta. Począj nie zadowolili się pracą listonosza, zapragnął zostać człowiekiem budowy, kierowcą wielkiego buloazera:

„...Wracali wysoką skarpą nad wąwozem, w którym wrzała praca przy budowie drogi, nic już do siebie nie mówiąc. W pewnej chwili Począj spojrział w dół i naraz doznał wrażenia, że braknie mu oddechu.

— Słuchaj — krzyknął pobladły, chwytając za rękę Wojniaka — czy zetempowcy mogą na „tym” jeździć?

— Naturalnie — odpowiedział spokojnie Jas. — Ten, co teraz na nim jeździ, to także zetempowiec. Toś ty jeszcze nigdy nie widział „Stalichy w ruchu? Fajny, co?

Ale Począj nie odpowiedział. Stał w zupełnym oszołomieniu, zapatrzony aż do zapamiętania wie wspaniałą maszynę, która powoli i majestatycznie — jak niewzruszony czołg pokojny — szła wąwozem, miażdżąc i krusząc wszyskie przeszkody spotykane na drodze.

Młody listonosz pojął, że dzieje się z nim coś niezwykłego. Po raz pierwszy od przybycia z rodzinnej wioski znowu uderzył w niego „wielki wiatr”, którego tak mu brakowało.

„Z oddali przytłumiony słowa rzucane na pożegnanie przez przewodniczącego Zarządu Powiatowego ZMP:

— Zrozumiesz, co to smak budowy.

Teraz zrozumiał. To właśnie był smak budowy”.

Piotr i Maria, Począj, Stefka Chroboszówna — nawet Tyracki — ich sprawy i troski wydobyte zostały przez pisarza z masy realnych, nowych, tętniących życiem faktów i podniesione do rangi literackiego symbolu. Żadna z tych postaci, żaden z konfliktów nie ma w sobie nic ze schematyzmu, ze starej konwencji pisarskiej, ze sztampy.

Marian Brandys pokazał nowe konflikty, pokazał również, jak odróżniać stare, klasowe, antagonistyczne sprzeczności od nowych sprzeczności i konfliktów, nieantagonistycznych, socjalistycznych.

Wyrazem nowych, socjalistycznych konfliktów jest dyskusja między inżynierem Lasotą a radzieckimi projektodawcami, dotycząca wyrazu plastycznego Nowej Huty. W serdecznej dyskusji młody polski inżynier przyjmuje źródło swego błądu, wynikające z abstrakcyjnego, estetycznego stanowiska, oderwanego od politycznego myślenia.

Wyrazem nowych sprzeczności jest konflikt między Stefką a Jurkiem, który udając się na studia do Krakowa namawia swą narzeczoną Stefkę, by porzuciła zawód murarski. Jurek przyjmuje swój błąd, który był sygnałem, że może się oderwać od swojej klasy społecznej, że grozi mu niebezpieczeństwo ulegania obcym wpływom. Jurek przyjmuje swój błąd, zmienia się.

Obraz konfliktów klasowych, antagonistycznych daje nam Brandys kreśląc postać wroga i zatwardziałego biurokraty Starkiewicza, prowokatora Nowaka, kreśląc obrazy kreciej roboty na budowie, prób rozpizania młodzieży przez kulacstwo.

Książka Brandysa pokazuje nam bogaty spłot trudności i zwycięstw, smutków i radości, które w swej dialektycznej jedności stanowią prawdziwy obraz nowej budowy.

II

„Początek opowieści” to książka głęboko ludzka, optymistyczna, przepełniona romantyzmem socjalistycznego budownictwa. Brandys nie lakieruje życia, ale przedstawia je w surowej prawdzie i rzeczywistej wielkości.

Romantyzm budownictwa w książce Brandysa wynika z niezachwianej wiary autora i jego bohaterów w siły klasy robotniczej budującej podstawy socjalizmu. Wiara ta umocniona jest nauce socjalistycznej, które dokonują się w oczach budowniczych Nowej Huty.

„Tak — mówi jeden z bohaterów „Początku opowieści” — życie nasze było jak ta stara droga nierówna, poraniona wybojami, odgrodzona grubym, trudnym do przebycia murem od miasta. — Ale życie małego Kubika będzie inne...”

I oto widzimy, jak zmieniają się losy Kubika i jedzie on na kurs hutniczy...

Romantyzm książki Brandysa widoczny jest również w pięknej scenie, kiedy to instruktor ZMP Gałęzka spotyka pracujących w nocy junaków Wojniaka i Solarza, którzy uczą się potajemnie w nocnych godzinach pracy murarskiej...

Istotną cechą „Początku opowieści” jest jej wielowarstwowość, bogactwo poruszonych problemów, nie tylko naszkicowanych, zasygnalizowanych drobnym epizodem. Brandys mówi i o inteligencji technicznej, o młodzieży, o majstrach na budowie — o całym kompleksie zagadnień.

Jakże wspaniale przedstawiona została w „Początku opowieści” pomoc ZSRR przy budowie huty, zapal radzieckich inżynierów przekazujących swe bogate doświadczenie budownictwa Polsce i polskim inżynierom...

Te wszystkie wartości treściowe książki Brandysa pomnaża lekki swobodny styl, prosty język, obliczony na masowego odbiorcę. Książka Brandysa posiada tę ogromną zaletę, że jest bardzo czytelna, dostępna dla wszystkich. Ta zaleta wśród naszych ostatnich książek jest niestety rzadko spotykana i rzadko nie zostaje przekroczona granica między prostotą a prostactwem.

W rozwijającym się warsztacie pisarskim Brandysa zostały udoskonalone w porównaniu z „Spotkaniami włoskimi” umiejętności zadzierzgnięcia węzłów dramatycznych i dobitnych point.

Taką pointę znajdujemy w sprawie Począja, w dyskusji inżynierów na temat Nowej Huty, w dziejach radzieckiego inżyniera, którego syn poległ za wolność Warszawy, w pogodnej historii „wnuka” Kościuszk...

III

„Początek opowieści” to książka w dużej mierze mówiąca o młodzieży. To książka w dużej mierze dla młodzieży przeznaczona. To książka, która pokazuje wielką rolę młodego pokolenia w Polsce Ludowej.

OJCIEC I SYN

Ta sama trasa biegnie wprost parzystą smugą szyn — promieni. Ta sama bluza, twarz i głos, a tylko zarys ust się zmienił.

I ziemia wokół. Dworców czaszki wiaduktów poderżnięte gardła — Wyglądaliśmy ziemi zmarszczki: oddycha dziś i nie umarła.

Na twarzy ojca wokół ust biegły jak szyny ostre bruzdy od skroni, które srebrzył mróz, lecz wzrok obydwu się nie różnił.

Bo kiedy stary Walczak żył — „Węgle!” — wołały głodne miasta. I trzeba było pchnąć do żył krew, więc strumieniem szły wagony, kolor wagonów był czerwony. W bitwie o transport dzień wyrastał.

Gorące miał paznokcie mróz, gdy rozdrapywał im policzki, stary kolejarz kaszał — cóż? lat sześćdziesiątkę przeszło liczył.

Trzymała walka, wstęga szyn, gdy ożywiają miasta martwe, on widział już jak jego syn stanie przysłany tu przez Partię.

I plany przyszłe będzie wiózł przez inną ziemię, w innym czasie — I parę z jego starczych ust wiatr lodowaty niósł po trasie. Wtórował parowozu tłok — to był czterdziesty piąty rok.

*

Ta sama trasa biegnie wprost parzystą smugą szyn — promieni. Ta sama bluza, twarz i głos, i tylko zarys ust się zmienił.

I ziemia wokół. Piersią hut, szczecią kominów, wież się wzdyma i syci swój przestrzeni głód na trasie Herby Nowe — Gdynia.

Ta sama twarz, a jakoś młodsza i pogodniejsza i zuchwalsza.

Przez odmienionej ziemi obszar prowadzi pociąg młodszy Walczak.

Ziemi błyszczącej rzek smugami, jak jego twarz strugami potu, ziemi, którą wydarli sami spod ostrych szponów kulmiotów.

Tak jak nabrzmiało jego żyły, gdy dłoń opiera na hamulcach, tak się szyn wstęgi rozciągnęły — setki pociągów Śląsk wyrzuca, a dzień i noc żarłoczne porty krew wysysają z tej aorty.

Musimy wykorzystać tor! Zwiększyć ładunki, towarzysze! Niechaj nie czeka na nas port. Przeloty niechaj będą szybsze!

Tak rozpoczęli stały ruch pociągów po sto pięćdziesiąt osi. Ile pomieści dworca brzuch i ile tory mogą nosić.

To on, to towarzysze tacy umieli pierwsi się odważyć oderwać palce rutyniarzy od wąskich gardel naszych stacji.

Mknie pociąg kolos, pociąg-gigant na dwa i pół tysięcy ton, zielenia światła droga miga i szyny pieśnią grzmiają jak dzwon!

Gwiaździsta mapa w tył ocieływa, a z ruchem nieba mija czas. Ostatni wagon — migotliwa goreje najczerniejsza z gwiazd.

Cóż można zamknąć w słupku wiersza? To już nie pierwszy bój rozgorzał. rozpalal ludziom młode serca, rozjaśniał oczy parowozu.

Tak młody zetempowiec Walczak, kiedy podsyca w kotle ogień, przestrzeń do komunizmu zwalczając, przez światła mknąc zieloną drogę.

ANDRZEJ BRAUN

ZAKŁADY CHEMICZNE W DWORACI

Noc pulsująca w gąszczu rurociągów, wież, kominów i pieców, wygiętych jak kolana, przetwarzała się w płyn, gdy oczy śledziły ciągle znużony ruch zegarów, niespokojnych od wieczora do rana.

Czaili się wybuchy w czarodziejskim procesie syntezy, uruchomiona fabryka żyła już jak organizm. I krążyła benzyna bez przerwy, i rodziła się, jak ze słów w poezji, z ilości nowa jakość w rurociągach osnutych dymami.

Nagle skoczyły gorączką zegary, buchnęła para, rozciągnęła się noc awaria, kwas wytrwał w rurach pierścienie, i zawył noc syrenami, terkotał w nadzorze aparat, i powlokło auto przez teren inżynierskie zmęczenie.

Przeleciały jak widmo kilometry zakładów, rusztowania suwnic otwierały się w pisku opon. I ganiło dyżurnego spojrzenie i błądność: „jak wy piszecie raport?... i cóż teraz... kłopot...”

Ale wiedział inżynier, że z takimi trzeba budować socjalizm, jakich mamy. Więc zaczynała fachowa myśl inżynierska szperać i naprawiać defekt chłopskimi rękami.

Mijało popołudnie w sali komitetu, waliły w papier dłonie od rdzy brudne: „Tych meldunków zrozumieć nie można niestety...” Mówił: „... jestem bez szkoły... ledwie piszę z trudem...”

Czy kto słyszał w tym kraju rolniczym o chemii, kraju, dostawcy pierza i siły roboczej. A jednak nie poznajesz swej ojczystej ziemi spod zarostu rur, cystern i dymu warkoczący.

Chemia — splecione znaki wzorów i obliczeń; fabryka, świat stwarzająca — w tkankach, zwojach drży... I ludzie niepiśmienni, i pieśni: „wczoraj niczym dzisiaj wszystkim my...”

Noćny raport z wytwórni jak wznięty na kotle pozwala zajrzeć w gardło rurociągom przemian. Cóż, gdy pismo na byle CO₂ się potknęło, a noc na dyżurze długa jest i ciemna.

Wzięj skrzypki kreda na tablicy, czołami zasmolonymi kuja w zeszyt — a niech to krew nagła... To siedzi chłop wczorajszy, to jutrzejszy chemik uczy się abecadła.

*) Marian Brandys. „Początek opowieści”. PIW, Warszawa, 1951

STEFAN TREUGUTT

O właściwy tekst „Odpowiedzi na Psalm Przyszłości”

Wiersz Słowackiego wyraża przerwę w historii literacko-ideologicznej ze szlachką, oportunistyczną postawą Krasieńskiego. Stał się poetyckim wyznaniem wiary bojowników o społeczne i narodowe wyzwolenie naszej Ojczyzny. Wiersz ten, tak ważny dla rozumienia Słowackiego — rewolucjonisty, nie stracił swojej wartości ideowej, nie stracił porównawczego piękna poetyckiego. Należy zwracać baczniejszą uwagę na to, by **Odpowiedź** była słusznie interpretowana, popularyzowana, wreszcie, by dotarła do czytelnika w pełnej, wydawniczo poprawnej postaci.

Sprawa ustalenia poprawnego tekstu **Odpowiedzi** nie jest zagadnieniem wyłącznie filologicznym, interesującym wąskie koło fachowców — między wersjami utworu zachodzą znaczne różnice, które zmieniają dość wyraźnie jego wymowę poetycką i ideologiczną — a więc, właściwy kształt tekstowy **Odpowiedzi** to zagadnienie istotne dla ogółu czytelników Słowackiego.

Wydarzeniem w życiu kulturalnym naszego społeczeństwa jest ostatnie wydanie **Dziela** poety, pierwsze po wojnie, najpełniejsze z dotychczasowych wydań zbiorowych. **Dziela** mają charakter popularno-naukowy, edytorsko przygotowane przez Tow. Lit. im. A. Mickiewicza pod redakcją prof. J. Krzyżanowskiego, wydania dokonał Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu. Odtąd wrocławskie wydanie drukuje skróconą, słabszą poetycko i ideologicznie wersję **Odpowiedzi** — wersję tę tradycyjnie wiodła o Słowackim niesłusznie uważa za „ostateczną” i jedynie poprawną, tak samo jak niesłusznie przypisuje jej większą doskonałość artystyczną.

Krytykę tego stanowiska trzeba poprzedzić kilku chociażby uwagami o genezie i historii wydań rewolucyjnego wiersza Słowackiego.

„Zaden z utworów, drukowanych za życia poety, nie przeżył na terenie wydań tak burzliwych i zmiennych kolei, jak wiersz **Do autora trzech Psalmów** — pisze znakomity znawca problemów wydawniczych Słowackiego, prof. Kleiner.

Krasieński drukował swe **Psalm Przyszłości** w Paryżu w początkach września 1845 r. Słowacki pod wpływem wrażenia lektury **Psalmów** napisał ostrą, polemiczną **Odpowiedź**. Wiersz nie ogłoszł drukiem (pod koniec życia Słowacki w ogóle mało wydawał, w ostatnich 4 latach opublikował jeden tylko fragment poetycki i 3 broszury polityczne prozą). Niedrukowana **Odpowiedź** zyskała jednak poczynność w kole bliskich znajomych poety; następne krążąc w autografie (lub nawet kilku) i w kopiach rękopiśmiennych rozszalała się po emigracji, prawdopodobnie zawędrowała do kraju, dotarła i do Krasieńskiego, który w drugim wydaniu **Psalmów** na nią replikował. Jednocześnie z drugim wydaniem **Psalmów** (jesień 1848) ukazała się w Lipsku drukowana wersja **Odpowiedzi**. Książeczka była wydana anonimowo pt. **Do autora trzech Psalmów**; ze współczesnych zapisków pamiętnikarskich możemy wnioskować, że druk wiersza odbył się bez wiedzy i wbrew woli autora. Wersja drukowana jest krótsza od kształtu pierwotnego utworu, brak w niej zakończenia, kilku ustępów w tekście, znaczne różnice występują w układzie poszczególnych fragmentów i w opracowaniu stylistycznym. W takiej samej, nieautoryzowanej wersji utwór włączono do pośmiertnego, Lipskiego wydania **Psalmów**.

Małecki, pierwszy monografista Słowackiego, zaprzeczył autentyczności tekstu opartego na pierwodruku Lipskim. Był on w posiadaniu autografu **Odpowiedzi** (autograf ten, zawierający pierwszą wersję z 1845 r., stał się następnie własnością Zakładu Narodowego im. Ossolińskich), na tym też pełnym tekście opierał Małecki swe wydanie **Odpowiedzi** w **I Psalms pośmiertnych** (Lwów 1866). Tekst podany przez Małeckiego przyjęło za podstawę pierwsze krótkie wydanie **Dziela Słowackiego** (Gubrynowicz i Hahn, Lwów 1900). Okazało się jednak, iż autograf Małeckiego nie jest jedyną redakcją utworu, jaka wyszła spod pióra Słowackiego. W roku 1902 Kallenbach opisał w **Książce nowo-nieznanej** przedtem autograf **Odpowiedzi** (Kallenbach nabył ten autograf dla Biblioteki Ordynacji Krasieńskich w W-wie, rękopis ten nie istnieje obecnie). Był to czystościs, niewątpliwie różniejszy od autografu z końca 1845, na którym opierał się Małecki. Oczywiście dowód, iż Słowacki nie porzucił na redakcji pierwszej, ale że pracował nad tekstem dalej — trzeba też dodać, że autograf Błb. Krasieńskich w zasadniczym układzie i ilości wierszy zeznał się z pierwodrukiem Lipskim.

Nowy autograf nie rozstrzygnął bez reszty problemu „poprawności” tekstu **Odpowiedzi**; edytorzy drukowali ten utwór w kilku wersjach.

I tak: Biegeleisen przytoczył wersję skróconą, Chlebowski pisał (w wyd. **Sto lat myśli polskiej**): „wobec braku ustalonego przez samego poetę wydania, podajemy tu wiersz według układu w wyd. Małeckiego, z poprawkami tekstu na podstawie autografu ze zbiorów Błb. Krasieńskich”, Górski drukował redakcję skróconą za autografem Błb. Krasieńskich, Gubrynowicz, jak już wspominałem, opierał się na wyd. Małeckiego, podobnie w redakcji pełnej daje **Odpowiedź** Kallenbach; Pisma w wyd. Kołaczewskiego podają wersję kompilowaną z obu redakcji, Kridl w aneksie do wyd. **Psalmów Przyszłości** (Kraków 1928) przedrukował krytycznie autograf Błb. Krasieńskich, tę samą skróconą redakcję konsekwentnie uznał za jedynie autentyczną w swoim wyd. **Pism**; Kleiner w t. IV monografii Słowackiego za podstawę przyjmuje druk Lipski jako „ostateczny” — itp. itp. O ile sprawa była zawiłana, niech świadczy fakt, że Tretiak w monografii o Słowackim za jedynie poprawną uważał wersję skróconą autografu Błb. Krasieńskich, analizując natomiast utwór oparł w całości na tekście wydawanym przez Małeckiego. Zasięga krytycznej analizy dochowanych wersji utworu i ustalenia spośród nich dwóch tekstów zasadniczych przypada Kleinerowi.

Wyróżnia on 4 postacie, w jakich dochował się do naszych czasów tekst **Odpowiedzi**: pierwodruk, tekst drukowany przez Małeckiego, dwa autografy. Istniały i inne jeszcze, niedochowane autografy lub kopie (tekst, z którego drukowano wiersz w 1848, tekst, który miał w reku Krasieński i inni). Precyzyjnie analiza błędów wydania Małeckiego i poprawne odczytanie autografu Zakl. Narod. im. Ossolińskich, pozwoliły Kleinerowi ustalić redakcję wcześniejszą. Poprawny tekst redakcji późniejszej, skróconej, a wraz z tym i krytykę wyd. Kridla, dało zestawienie pierwodruku z autografem Błb. Krasieńskich. Obie redakcje Kleiner omówił i wzorowo wydał w t. VII **Dziela wszystkich** (1930). Oba teksty drukowane są równolegle, za redakcję ostateczną i zasadniczą uważa jednak Kleiner redakcję późniejszą, krótszą.

Czy Kleiner ma rację nazywając redakcję krótszą „redakcją ostateczną” i jedynie poprawną? Nie, to nie jest redakcja ostateczna, lecz jedna z zachowanych późniejszych przeróbek pełnego tekstu pierwotnego.

Słowacki pisał **Odpowiedź** jako ideologiczną (i artystyczną) polemikę z Krasieńskim, w ścisłym związku z ówczesną sytuacją polityczną na emigracji i w kraju. Co do tego krytycy Słowackiego wyjątkowo są zgodni. Ten właśnie bojowy i polemiczny tekst ma dla nas szczególną wartość. Nie wiemy, czy poeta zamierzał utwór drukować — w każdym bądź razie nie zostawił nam wersji drukowanej za jego zgodą, a więc de facto autoryzowanej, ostatecznej — nie mamy żadnych danych, by sądzić, że ktoś z zachowanych redakcji sam uważał za „ostateczną”. Tekst pierwotny, pełny, ulegał w ostatnich 3 latach życia poety przeróbkom — polegały one na skracaniu, przestawianiu całych fragmentów, retuszach stylistycznych. W jakim kierunku idą te zmiany? W kierunku pewnego osłabienia i zatarcia akcentów polemicznych (to odbija się nie tylko na skrótach, lecz i na zmianie układu poszczególnych ustępów).

Prof. Kleiner uważa autograf Błb. Krasieńskich za redakcję ostateczną — należałoby powiedzieć: ostateczną z zachowanych lub ustaliną z odnalezionych. Nie jest zupełnie pewne, z jakiego okresu ta redakcja pochodzi. Na rękopisie warszawskim był dopisek obcy, nieznany ręką: „Autograf samego mistrza w r. 1848 z Paryża” — Kridl uważa to za datę napisania autografu. A to wcale nie takie oczywiste. Notka może odnosić się np. do daty otrzymania rękopisu, a niekoniecznie do daty napisania. Nie wiemy, kiedy i przez kogo dopisek był zrobiony — bardzo być może, że w notatce późniejszej data „1848” znalazła się tylko dlatego, że piszący wiedział o wydaniu wiersza **Do autora trzech Psalmów** właśnie w roku 1848. Słowo „mistrz” nie świadczy na pewno, iż to robił ktoś z najbliższego grona uczniów Słowackiego — i za życia, a szczególnie po śmierci poety, byli w kraju i na emigracji ludzie (ot, tacy chociażby, jak Weryha-Darowski), którzy słowa „mistrz” mogli używać, nawet Słowackiego osobiste nie znając.

Na autografie Błb. Krasieńskich były korektury i poprawki często zmieniające słowa i zwroty, jakie znajdujemy w pierwodruku z 1845 r. To też wcale nie musi świadczyć, że autograf był poprawiany po ukazaniu się druku Lipskiego. Również dobrze mógł Słowacki kreślić rękopis, z którego kopii zrobionej wcześniej drukowano wiersz bez wiedzy poety.

Nie wiedząc dokładnie, w jakich okresach powstawały zmiany i skróty tekstu **Odpowiedzi**, trudno odpowiedzieć, jakim zmianom stosunku Słowackiego do Krasieńskiego one

odpowiadają, jak w nich odzwierciedliły się wahania ideologiczne samego poety. Nie wiemy i raczej nigdy nie będziemy wiedzieli, na czyj i jaki użytek wprowadzał Słowacki zmiany do pełnego tekstu pierwotnego, a przecież nie jest to dla charakteru tych zmian obojętne. I w tej, i w wielu innych sprawach, związanych z genezą zmian i kolejnych redakcji wiersza, poruszamy się w sferze bardziej lub mniej trafnych domysłów.

Fakty natomiast, takie przynajmniej, jakie nam daje dotychczasowa wiedza o Słowackim, mówią, że: nie mamy redakcji, o której byśmy mogli powiedzieć, że przedstawia wersję ostateczną przez autora drukowaną lub uznaną za jedynie poprawną, mamy natomiast dwa autografy, domyślamy się, mamy dowody, że istniały i inne; autograf pierwszy jest tekstem pierwotnym, rzutem broniowym pisanym bezpośrednio pod wrażeniem lektury **Psalmów**, ściśle jest związane z historycznym momentem, w którym powstał; autograf drugi jest jedną z późniejszych wersji, w którym powstał; autograf trzeci jest redakcją skróconą i osłabioną, o której nie możemy powiedzieć, że na pewno była ostateczna, ani też w jakim na pewno okresie powstała; dzięki precyzyjnemu i wnikliwemu badaniu Kleinera mamy teksty obu redakcji w wersji możliwie najbardziej autentycznej.

W wydaniu naukowym, operującym pełnym aparatem krytycznym, oba teksty muszą być drukowane jako dwie zarówno autentyczne i zarówno nie ostateczne redakcje — wcześniejsza i późniejsza. Kleiner w **Dziela wszystkich** postępuje podobnie, drukując obie redakcje w całości; niesłusznie tylko, mym zdaniem, wysuwa tekst późniejszy i skrócony na początek, jako wersję ostateczną, zamiast wydać oba teksty w porządku: redakcja I, redakcja II.

Najpoważniejszym zarzutem przeciw takiemu rozwiązaniu sprawy będzie fakt, iż na pewno wiemy, że redakcja II jest późniejsza — a więc fakt, że Słowacki nie porzucił na redakcji I; nie dał wprawdzie redakcji ostatecznej, ale dał późniejszą.

Chronologia w ustalaniu autentycznego, poprawnego tekstu jest czynnikiem wielkiej wagi, zwykle nawet decydującym — ale czy zawsze? Czy zawsze chronologia może decydować, jeżeli nawet chodzi o wydania książkowe, co do których przypuszczamy, iż były autoryzowane? Na pewno nie, a stosowanie schematu byłoby w tym wypadku ta samo niebezpieczne, jak w każdej dziedzinie pracy naukowej. Wiemy, że często za tekst podstawowy należy uważać ten, który najpełniej przedstawia myśl i zamiar autora, że jeżeli istnieje kilka etapów powstawania dzieła, to na wyborze tekstu podstawowego mogą zaważyć różne kryteria, np.

filologiczne, literacko-estetyczne, wreszcie historyczne, przy czym udział autora w dalszym opracowywaniu tekstu nie zawsze jest gwarantem doskonałości dzieła (por. G. Rudler, *Les techniques de la critique et de l'histoire littéraire*, Oxford 1923). W naszym wypadku mamy w oczywisty sposób do czynienia z dwoma odmiennymi redakcjami, które wydanie naukowe powinno jednakowo uwzględnić.

Nowe zagadnienie wyłania się przy przedrukach **Odpowiedzi** w wydaniach popularno-naukowych i popularnych. Jeżeli nawet w wydaniu popularno-naukowym można by się zastanawiać, czy dać dwa teksty, czy jeden, a drugi uwzględnić w wariantach, to w wypadku wydania popularnego musimy stanowczo rozstrzygnąć, której redakcji przyznać pierwszeństwo.

Względy historyczne przemawiają stanowczo za redakcją I, pełną. Badania filologiczne stwierdzają, że redakcja II, skrócona, jest późniejsza, ale nie dostarczają dowodów, by była ostateczną. Dowodząc pierwszeństwa skróconej redakcji, krytycy powoływali się na jej rzekomo doskonalszą formę artystyczną, na jej doskonalszą, bardziej zwartą konstrukcję. „Układ wiersza... w autografie warszawskim i druku Lipskim jest... logiczniejszy i racjonalniejszy” — pisze Kridl, „Redakcja ostateczna — stwierdza Pawlikowski — łagodzi ostrze polemiki, usuwa zwroty o charakterze egotycznym...”. Kleiner w swej monografii dochodzi do wniosku, że redakcja skrócona jest „mniej osobista, mniej w zapowiedziach rewolucyjnych jaskrawa, w układzie jaśniejsza logicznie i bardziej muzyczna”. W innym miejscu ten sam badacz pisze: „...jakkolwiek f. n. a. został w nowym opracowaniu osłabiony, układ zmieniony wyższy jest od pierwotnego pod względem artystycznym, że jaśniejszy stał się w nim tok myśli, że wreszcie na korzyść utworu wyszło złagodzenie groźnych zapowiedzi i usunięcie zbyt silnego tonu osobistego”. Prof. Kleiner uważa **Odpowiedź** za „arcydzieło poezji polemicznej”, a jednocześnie twierdzi, że „usunięcie zbyt silnego tonu osobistego”, „osłabienie finału”, no i „złagodzenie groźnych zapowiedzi” wyszło wierszowi na dobre. Jeżeli zgodzimy się, że **Odpowiedź** jest arcydziełem rewolucyjnej poezji polemicznej, to takie zmiany mogą wyjść tylko na złe. Formelno-estetyczne i to bardzo wąskie rozumienie problematyki wiersza mogło skłonić krytykę do nazwania nowej wersji „logiczniejszą i racjonalniejszą”. Przypierzmy się dokładnie obu redakcjom.

Redakcja II jest krótsza o 73 wiersze. Brak w początkowej części utworu fragmentu (35 wierszy) zaczynającego od „Jam spróbował na mej głowie, Na kształt gwiazdy kakauckiej...”, a kończącego się wspaniałym ustępem:

... a ja wstaję...
Bo ojczyznę mam w łańcuchu
Widząc... miałem tę pokorę,
Zem żadnego nie kłął ruchu,
Czuł gorących — bo sam gorę,
Modlił się o czasy nowe
I o wrogów mych zwycięstwo,
Choć groziło mi męczeństwo,
I w sąd... mogło pójść o głowę.
Bo ty nie myśl, że z Aniołami
Tylko Boga myśli nadchodzi;
Czasem Bóg ją we krwi rodzi,
Czasem rzuca przez Mongoły...”

Usunięcie tego fragmentu, poetycko bardzo pięknego, nie tłumaczy się żadnymi względami konstrukcyjnymi, przeciwnie, brak tych wierszy powoduje lukę w rozwoju polemicznego toku utworu. Przypomnijmy tu wyraźnie Kleinera, polemizując przy układaniu redakcji I (pełnej) z wywodami Kridla — wbrew temu ostatniemu Kleiner słusznie stwierdza, że omawiany tu ustęp „stanowi właśnie bardzo logiczne w tym miejscu przeciwstawienie osoby i metody Słowackiego postępowaniu autora „Psalmów”. Pierwszy fragment demaskuje słabość wolażącego o „czyn” autora **Psalmów**, w drugim przeciwstawia mu Słowacki własne pojęcie o tym, czym jest czyn polegający za sobą lud, w trzecim (właśnie opuszczonym, zaczynającym się od „Jam spróbował...”) pisze o sobie, o swej ideologicznej postawie, o swym stosunku do Ojczyzny i jej dalszych losów, by w następnym fragmencie od razu przeciwstawić temu postawę Krasieńskiego (A ty... Jasny jakiś Panie). Można przypuszczać, że Tretiakiem, że Słowacki usunął ten fragment ze względu na zbyt osobisty jego charakter, ale tego nie można uważać za korzystne dla utworu.

Po usunięciu czterowiersza: **Duchy lecą i nie giną, Czasem pełne snów czerwonych... Czy ty jeden z przestraszonych Ręką rzezi — gilotyna?** konsekwentnie osłabił się początek następnego fragmentu, co znalazło wyraz i w stylistycznej zmianie pierwotnego „Skądże w tobie mordu trwoga” na „Skądże w tobie taka trwoga” (por. dowodzenia Kleinera, „**Dziela wszystkie**, VII, 423).

Dalej brak 10 wierszy od:

Nie myśl, że wszystko na naszej łące
Smutniej, wędnie — zachodzi
do: Smutniej, wędnie — zachodzi
do: Nie tak, tu nie tak... jak ci się
może

Przyśniło, głośny szlachty upiorze!

Dowodzenie „konstrukcyjnych” korzyści płynących z usunięcia tego fragmentu jest szczególnie pozabawione podstaw. We fragmencie poprzedzającym („Kiedyś ze sto was tysięcy było... szlachty”) mamy znaną ogólnie inwektywę przeciw szlachcie i przeciw Czartoryskiemu — fragment usunięty przeciwstawia „gnijącą między kłami” starą szlachetę i nową jej Polce. Głęboko niekonsekwentny jest układ w redakcji nowej, w której w tym miejscu, po słowach „i was nie ma” nagle poeta zwraca się do antagonisty ze słowami „Bądź-że mi weselszej cery”. Warto tu przypomnieć słowa Kleinera we wspomnianej polemice z Kridlem, a dotyczące usunięcia tego fragmentu: „...trzeba nawet powiedzieć, że wprost przeciwnie w redakcji ostatecznej to wezwanie [„Bądź-że mi weselszej cery”] pada niespodziewanie, bez uzasadnienia”.

O ile chodzi o brak 24 wierszy wspaniałego zakończenia w wersji skróconej, to przypominajmy sobie, że już Tretiak, a więc badacz, którego trudno posadzać o apologię rewolucjonizmu, kwestionował celowość tego usunięcia: „Najtrudniej zrozumieć, dlaczego odrzucił [Słowacki] tak piękny pod względem formy i zapachu ustęp końcowy”. Zmiany w drugiej redakcji polegają też na przestawieniu kolejności kilku ustępów. I to nie przyczynia się w najmniejszym stopniu do wzmocnienia konstrukcji wiersza. Po ataku na szlachtę i na Czartoryskiego następuje piękny ustęp mówiący o tym, że „nie myśl, że wszystko na naszej łące smutniej, wędnie...”, wizja lepszej, idealnej Polski. Słowacki rozwija tę wizję w trzech następnych fragmentach, wzywa następnie przeciwnika, by zrozumiał tę przyszłość tak jak on, („czytaj przyszłość, wieszcieś miody”), ukazuje mu raz jeszcze potęgę ludu w majestatycznym 8-wierszu („Ten kto ojcu powie: raka, ten przekleństwo — więc się bój! Polski lud to ojciec twój”) — wreszcie kompozycyjnie kończy tę część utworu gigantyczną wizją poetycką „duchów-rewolucjonistów”. To wersja pełna, pierwotna. W wersji skróconej nie ma ani śladu tego narastającego, głęboko konsekwentnego obrazu poetyckiego. Ustęp mówiący o „duchu-rewolucjonistach” znalazł się w środku, a nie na końcu omawianej tu części utworu — integralnie z sobą związane ustępy zgi przy-

zości i wezwanie do autora **Psalmów** (Bądź-że mi weselszej cery), by zobaczył tę przyszłość, zostały kompozycyjnie zerwane. Jedyną ciągłą została tu rozbita, a omawiana część utworu zmieniała się w szereg pięknych, ideologicznie wymownych, ale dość słabo z sobą powiązanych fragmentów. W rozważaniach nad konstrukcją redakcji pierwszej znowu trzeba się powołać na Kleinera, który nie tylko tę redakcję ostateczną uporządkował, ale i niezwykle przekonująco dowodził logiczności jej konstrukcji.

W drugiej, skróconej wersji **Odpowiedzi** spotkamy poza tu omówionymi szereg zmian drobniejszych. Jedyną poważniejszą jest w początkowym fragmencie zamiana sześciu wierszy, poetycko i ideologicznie niezwykle wyrazistych:

Głosem dziecka wolaż: czynu,
Czynu, czynu! Naród czeka.
Lecz ty wiesz, bez ducha gminu
Jaka słaba pierś człowieka.
A ty, który budzisz czyn,
Gdy spojrzalas w ludu oczy,
Rzekiesz: że z nich rzęć wyskoczą,
A kto inny jest — niż gmin?

Zamiast nich mamy piękny i sugestywny obraz poetycki, obraz nie wątpliwie mniej nastawiony na ostre, polemiczne wyznaczenie wiary politycznej.

W pieśniach wolaż: „Czynu! Czynu!”

Czynu! Czynu! Naród czeka:
A ty drzysz, przed pierwszą gminą,
Drzysz, gdy błysnę Bóg z człowieka

Drzysz, gdy kos oł ukrainskich
Długi, smutny brzęk zaleci,
Drzysz, gdy w marzeń mgłę zaszleci

Groźna, stara twarz Kilińskich

Inne zmiany są i ilościowo i jakościowo mniej ważne — niektóre z nich można by zaliczyć do prób „złagodzenia” tonu utworu (np. zamiast: „Waż im sercem — a proch rdzenia” w red. skróconej o szlachcie mówi się: „Proch im sercem i proch rdzenia” — itp.). Charakter drobnych zmian ma charakter prawie wyłącznie estetyczny — poeta bierze na warsztat wyrażenia, które mu się wydają słabsze, zmienia je zwykle na bardziej wyraziste, bardziej zwarte (np. gdy o Czartoryskim powie zamiast: „Poszedł gnij między królami”, „Marą króla zgnął z królami”, lub zamiast: „Bo nam tworzyć czarną marę” powie „Bo nam rodzić buntu marę” itp. — nie zawsze zresztą tak szczęśliwie; znajdziemy i wiersze, gdzie nowa redakcja osłabia ekspresję poetyckiego wyrazu — i tak: „Naród cały hasła czeka, A krzyk pierwszy z ust człowieka Był krzyk: Stójmy — był krzyk strachu” — ostatni wiersz w nowej redakcji brzmi „Był okropnym krzykiem strachu” i jest na pewno gorszy, tak jak np. „Jutrzeńka” w drugiej wersji jest gorzej niż „jutrzeńka” w fragmencie „Honor myślim, z których błyska Nowy duch i forma nowa. Bo są światu jak zjawiska, Jako jutrzeńka są różowa” itp. itp.).

Tak więc i pod względem artystycznej wymowy, dojrzałości formy poetyckiej, wersja późniejsza, skrócona, jest słabsza od wersji pełnej, pierwotnej. Wersja pierwotna jest bardziej polemiczna, bardziej zdecydowanie bojowa w stosunku do przeciwnika. Daje tekst dłuższy, konstrukcyjnie lepiej rozłożony, ideologicznie wyrazistysz.

„Estetyzm” krytyków, którzy redakcję skróconą uważali za doskonalszą od pierwotnej, zdradza tylko ich daltonizm w stosunku do rewolucyjnej liryki romantycznej.

Nie ulega wątpliwości, że wydanie popularne winno podawać tekst **Odpowiedzi** na **Psalm Przyszłości** w redakcji I, pełnej i artystycznie w całości lepszej. Toteż błędy takie, jak wydanie **Odpowiedzi** w **Wyborze poezji** w 1949 (Biblioteka Pismarzy polskich i obcych, nr 48) w wersji skróconej i podanie z wersji pełnej tylko zakończenia w przypisach, nie powinny się powtarzać. Jeszcze większe wątpliwości budzi zabieg, jaki zastosował przy druku **Odpowiedzi** Hertz w wydanych ostatecznie **Poezjach i Listach** w wyborze (P.I.W. 1951). Wydawca daje kompilację redakcji skróconej i zakończenia z redakcji wcześniejszej, pełnej. Podając zakończenie posługuje się wydaniem Małeckiego, wstawiając sześciowiersz, który wydawca **Dziela wszystkich** słusznie uznał za zaniechany. To już zaskakująca na grubą dowolność, niezmiernie niezasadniona.

Jak zaś mają podawać poprawny tekst **Odpowiedzi** wydania popularno-naukowe? Takie, jak wydanie **Dziela** pod redakcją prof. Krzyżanowskiego? Jeżeli takie wydanie nie podaje w tekście głównym dwóch redakcji, jeżeli jedna z nich ma iść do przyszłości, to przecież nie wersja pełniejsza, artystycznie lepsza, ideologicznie bliższa momentowi historycznemu, w którym wiersz powstał, a z filologicznego punktu widzenia co najmniej równie autentyczna, równie poprawna.

Stefan Treugutt

Stanisław Witold Balicki

Zeromski w teatrach warszawskich¹⁾

„Sulkowski” w inscenizacji Schillera

Na wawelskiej konferencji w sprawie badań nad sztuką Leon Schiller dał pierwszą próbę szerszego ukazania tradycji realizmu w teatrze polskim. Przy omawianiu zawiłego i kłopotliwego problemu dramaturgii Stefana Żeromskiego, gorąco upomniał się o „Sulkowskiego”.

„Mylna na ogół interpretacja treści ideowej „Sulkowskiego” — do wodził Schiller — i zbyt ostra ocena niesłuszności czy książkowości tego dramatu wynika stąd, że pierwszy jego realizator i odtwórca roli tytułowej, Osterwa, bezwzględnie czy świadomie zbagdował, lub wręcz wyeliminował momenty barwniejsze rewolucyjne, że z jakobina hamietyzującego uczynił, że uszanował wszystkie dłużyzny w wypowiedziach na tematy erotyczne i mistyczne i że tak odczytany, tak ustalony tekst w obieg po wszystkich teatrach poszedł. Jeśli inscenizator dzisiejszy potrafi uniknąć błędów poprzednika, nasz retrospektywny repertuar realistyczny wzbogaci się o dzieło wytrzymałe krytyce zarówno pod względem ideowym, jak i teatralnym.”

Równocześnie Schiller, stwierdzając nieaktualność i nieprzydatność dla dzisiejszego teatru innych dramatów Żeromskiego, wraz z „Przebieżką”, niewątpliwie słusznie zwraca uwagę na konieczność zajęcia się przez marksistowskich teatrologów literackimi i teatralnymi dziełami „Róży”. Przygotowywana bowiem jeszcze za życia pisarza dla teatru im. Bogusławskiego w formie wcale swobodnego opracowania dramaturgicznego i ściśle z nim związanej inscenizacji (Horzycy i Schillera), wystawiona na wiosnę 1926, zabrzała wówczas, i w późniejszych naśladowaniach (Kraków, Poznań), a więc za rządów endeckich i sanacyjnych, mocnymi akcentami proletariackimi i rewolucyjnymi. Być może, nowe opracowanie „Róży” oceniłoby dla naszego teatru jeszcze jeden ogień jego postępowych dzieł. Ale to dopiero sprawa szczegółowych analiz i prób inscenizacji.

A tymczasem niespodziewanie, i na pewno na długie lata, zagroził w naszym teatrze wyrzębany z pamiętek rodzinnych twórca Żeromskiego, na który referent nie zwrócił nawet uwagi, choć znany już był z książkowego wydania, okaleczony „Grzech”. Leon Kruczkowski rzucił pomysł zaopiekowania się tym waltym debiutem dramaturgicznym Żeromskiego, podjął się uzupełnienia jego tekstu i przyszło o scenie. Współpraca Kruczkowskiego i Bohdana Korzeniowskiego dała teatrowi nie tyle tegi co zdrowy dramat, który nagie niezwykłe cennie poszerzył nasz repertuar realizmu krytycznego.

„Grzech” ukazał się na scenie teatru „Kameralnego” w Warszawie i to od razu, w ciągu kilku tygodni w dwóch wersjach aktorskich pod kierunkiem tego samego reżysera. Wersjach odmiennych, nie tylko z natury indywidualności aktorów, ale i wynikających z świadomych założeń reżysera, który jednak rozwiązywania aktorskie dyscyplinuje w grę zespołową i stara się podporządkować temu samemu celowi przedstawienia. Rozpatrzmy w następnym artykule te pouczające przedstawienia o ile możności dokładnie.

„Sulkowski” wystawił w Teatrze Narodowym im. Wojska Polskiego Leon Schiller²⁾, realizując swój plan przeciwstawienia się międzywojennej koncepcji Osterwy. Wprowadził nie Osterwa pierwszy wprowadził na scenę krajową „Sulkowskiego”; uczynił to Solski w listopadzie 1917 (Teatr Polski w Warszawie, Sulkowskiego grał Jan Kochanowicz), w dwa lata później Michał Tarasiewicz dał we Lwowie własną inscenizację (Sulkowskiem był Robert Boehlke); jednak Osterwa, powtarzając w r. 1923 w Warszawie, w Teatrze Bogusławskiego i w Rozmaitościach, swoją koncepcję dramatu i roli, kształtowaną już w teatrze emigracyjnym w Kijowie, teraz rozbudowaną, oraz jeżdżąc z tą rolą wielokrotnie po całej Polsce — rzeczywiście narucił swoje widzenie „Sulkowskiego”.

Nie przypadkowo padło wyżej określenie tej koncepcji Sulkowskiego jako „międzywojennej”. Osterwa grał tę rolę przez lat dwadzieścia i dyalektyka konkretnej rzeczywistości nie była bez silnego wpływu na jego myśl i aktorstwo. Prędkość ideologiczna Osterwy, jego narastające ciągoty mesjanistyczne, jego skłonności tworzenia — przy użyciu wprawdzie środków realistycznych — właśnie idealistycznych utopii, stały się niejednokrotnie zrecznym wykorzystywaniem narzędziem klasy wyzyskującej i rządzącej.

Tak było i z „Sulkowskim”. Wyatańczył zając do recenzji po warszawskim przedstawieniu z r. 1936,

pisanej przez czołowego reżimowego krytyka „Gazety Polskiej”, by stwierdzić, jak bardzo na rękę reżimowi, bo zgodne z jego potrzebami, było to właśnie opracowanie „Sulkowskiego”. Opracowanie zamazujące i gubiące nurt patriotyczno-rewolucyjny, rozprawę pańszczyźnianych chłopów i żołnierzy wolności z feudalnym ustrojem ucisku i zdrady narodu, nurt najjaśniejszy i najsilniejszy u Żeromskiego w tym właśnie dziele; opracowanie punktujące dobitnie reakcyjne metnactwa o „Polsce Jeruzalem”, echa tragicznej sprzeczności tkwiących i w samym Żeromskim, zwłaszcza w epoce studiów nad epoką napoleońską i wielkiej emigracji polskiej.

Jasne, że taki Sulkowski — pamiętamy zresztą jak sugestywny i porywający wielkością aktorstwa Osterwa — nie może być zaliczony do realistycznych tradycji polskiej sceny. Takie przedstawienie, niedokładnie i niewłaściwie tekst Żeromskiego odczytawszy, błędnie jego myśl istotną podawało.

Już w młodzieńczych latach kształtowania swej myśli społecznej i zamierzeń twórczych, latach podobnie jak całe życie pisarza obfitych w sprzeczności, wahania i załamania, ale też bogatych w rewizjonistyczną i radykalizującą działalność przeciw „macoszce ojczyźnie podłości szlachty” i „zgniłej filistarii klas wyższych” — już wtedy Żeromski, zajmując się ludem, notował w pamiętniku takie wyznania (r. 1899): „Mijuję cię wielki ludu prostacy, schylam ci się do stóp z błaganiem, byś zrozumiał takich jak ja i byś kiedyś, gdy nas nie stanie, dobrze nas wspominał”.

Obie dzisiejsze premiery Żeromskiego na scenach warszawskich są wyrazem „dobrego wspomnienia” przez Polskę Ludową trudu i walki pisarza, dążą do jak najprawdziwszego zrozumienia twórcy poprzez wierność tekstowi i myśli przewodniej dzieła, w sposób interesujący poszerzając naszą wiedzę o pisarzu. Są równocześnie — każda w swoim rodzaju — ważnymi wydarzeniami

dycji sugestywnego przedstawienia przy pełnym poszanowaniu dla do brze znanego tekstu „Sulkowskiego”. Po drugie: pierwowidy dramatopisarskie Żeromskiego, ukazujące czasy i sprawy mu współczesne z bezpośrednich obserwacji — łatwiej po oczyszczającej pracy reżysera mogły przemówić krępkim realizmem niż „Sulkowski”, ta — jak charakteryzował Kazimierz Wyka: — „wielka panorama idej historycznych, patetyczna i uroczysta”, nie bez „nużących zatok liryzmu lub żywocem przepisanych z archiwum referatów”. Po trzecie, żeby już nie mnożyć przykładów: twórczość reżysera Korzeniowskiego, łącząca się od lat kilku, dojrzewa szybko w zdrowej epoce narastającego realizmu. Schiller zaś dźwiga na sobie brzemień wielu lat i różnych faz autonomii teatru, kiedy to woli reżysera podporządkowany był i utwor literacki autora.

Nie wolno więc nie dostrzec, że na drodze przemian twórczości Schillera obecna inscenizacja „Sulkowskiego” ma szczególną wartość: Schiller dąży do wydobycia idei nadrzędnej widowiska wyłącznie z tekstu i poprzez tekst dramatu. Wszystkie składniki widowiska postanowił podporządkować słowu Żeromskiego. Narucił sobie dyscyplinę, jak może w żadnym jeszcze przedstawieniu. Pozaaktorskie i pozatekstowe elementy tym razem odgrywają rolę minimalną, nie są naczelnym składnikiem przedstawienia. Muzyka np. jako ważny czynnik widowiska dochodzi do głosu wtedy, gdy tego wyraźnie żąda sam autor. Nie znaczy to, by Schiller zrezygnował z własnej twórczości i dosłownie powtarzał wszystkie wskazania sceniczne autora. Korzeniowski po warszawskiej premierze „Kordiana” (w r. 1935) napisał o Schillerze: „Reżyser nie trzyma się zupełnie wskazań scenicznych autora. Wolno mu to — nie pisze rozprawy filologicznej. Zagadnienie sprowadza się ostatecznie do pytania: dobrze czy też źle wychodzi na tym dzieło”. Będziemy mogli zresztą skonfrontować tę tezę z przykładami z omawianych inscenizacji, Schillera i następnie Korzeniowskiego.

Osterwa dawał w „Sulkowskim” mit o wymarzonej bohaterze, ale — zgodnie ze swą Redutową szkołą — utrzymywał całość przedstawienia w charakterze życiowej prawdziwości obarczonej balastem licznych naturalistycznych szczegółów. Schiller przeciwnie. Wydobijając treści klasowo-społeczne poetyzującego utworu, osadzając epokę i jej ludzi, kładąc akcenty na przeciwstawnych sobie zbiorowościach, w nurt rewolucyjny porywając tekst Żeromskiego, zamyka pewne całości w artystyczne kompozycje, w których dekoracje, światło, tonacja, nastroj wiążą się ściśle i podporządkowują głównemu działaniu słowa, wyrażającemu podstawową prawdę rzeczywistości nie fotograficznie kopiowanej, ale twórczo w obrazie teatralnym przedstawionej. Słowo głosi aktor, któremu Schiller świąt „mie ogranicza czynności fizyczne, ruchowe i gestowe, dając do form najprostszych, niejednokrotnie nawet przez swą statykę podkreślających dynamizm wewnętrzny dramatu postaci.

Scenografia Jana Kosińskiego, muzyka Zbigniewa Turskiego ściśle współdziałały z zamierzeniem inscenizacji. Nie udało się jednak Schillerowi dać całej pełni treściowej tekstu literackiego, bo nie została ona wydobita aktorsko. Poza rolę tytułową i siedmiu żołnierzami obozu w okolicach Werony, niemal

„kolosalną rzecz, europejskie przedsięwzięcie”, które by stanowiło „fundamentalną” jego pracę jako pisarza europejskiego. „Zawsze miałem temat owych królów i książąt włoskich zdegradowanych przez Napoleona, których pod koniec XVIII w. pełno było w Wenecji” — pisał do Miriama Przesmykówny. Mimo „europejskości” zamiaru — „Sulkowski” powstał jako dramat o problematyce polskiej i do polskiego czytelnika czy widza przede wszystkim adresowanej.

Akt I upomina się o krzywdę pańszczyźnianego chłopca, tułacza w żołnierskim mundurze, a łącząc klasowy problem chłopski z walką wyzwoleńczą daje lekcję rewolucji udzieloną Basiom i Zawilcom przez jakobina Sulkowskiego: „Chcę, żeby się w was okiełnała jędra gniewu, jak we francuskim ludzie”. Kiedy przyjdziecie na ojczystą ziemię, macie nastawić bagnety przeciwko spróchniałym prawom podłości i przemocy człowieka nad człowiekiem... Każdy człowiek wejdzie we własne drzwi, pod własny dach”. Akt II przynosi rozprawę kondotiera wolności po stronie z włoską feudalną arystokracją. „Ja was dobrze znam — oskarża Sulkowski — Poznałem was jako gatunek — i to nie tutaj, lecz daleko stąd... Patrzcie na was, widzę wasze dusze i czytam dzieje śmierci mojej ojczyzny”.

Akty dalsze — to walka Żeromskiego z legendą napoleońską. Ale zamiar „europejskości” zawiół do tych aktów nic nas nie interesujące sprawy Agnieszki Gzongazi i zdegradowanego księcia Modeny oraz intrygi hrabiego d’Antalaz. Boy-Zeleński jakże słusznie atakował ten „literacki konwenans”, tę „fikcyjność”, gdy przeciwnie „czujemy tuż za sceną bijący potężny puls rzeczywistości dziejowej”. Skoro w walce z cesarzem Napoleona, jego handlowaniem wolnością drugich, nie dał nam Żeromski bezpośrednich starć Napoleona z Sulkowskim, coraz śmiało wierzącym w postępową na pewnym etapie i wyzwoleńczą rolę naczelnego wodza Dyktatoratu — czyż nie lepiej zdobyć się na śmiałą decyzję wyeliminowania z konstrukcji dzieła scenicznego dłużyzn epizodu erotycznego i tych spraw nam obcych, w które autor wmieszał Sulkowskiego. Sądzę, że bez szkody dla całości może inscenizator zrezygnować zupełnie z IV aktu. Autor zakłada przecież, iż rzeczywiste wydarzenia dziejowe dobrze są znane widzowi, podobnie jak postać Sulkowskiego. Wielka dyskusja o epoce i problemie polskim zyska tylko na dramatyczności i realizmie.

Jeszcze jeden jaskrawy błąd popełnił Schiller, w tym wypadku wyraźnie odchodząc od woli autora. Sprawa finału. U Żeromskiego — Bonaparte „salutuje długo” skrwawiony szereg mundurów Sulkowskiego, przyniesiony przez Zawilca. U Schillera — Napoleon w drwiącej pozie nie tai swego triumfu, że zginął domniemany rywal polityczny, za chwilę jednak załamuje się pod historycznym ciężarem tego szczątku swej ofiary i pod spojrzeniami zbryzganej krwią Zawilca, a generalia tylko wodzi oczyma po tak nieopanowanym wodzu. U Żeromskiego — mamy genialny akcent tragicznej ironii, jednym gestem charakteryzującą i osadzającą epokę przyszłego cesarza, cały fałsz stosunku imperialistów do sprawy polskiej i kondotierów ruchów wyzwolenia — społecznych. U Schillera — drażni nas ten antyrealistyczny fałsz psychologiczny, niepotrzebny, uproszczony komentarz reżysera do sprawy dla każdego jasnej. Tu właśnie, dopiero w tej ostatniej „kropce nad i”, wyszło

sztyldo wczorajszego Schillera, formalizującego autonomistę, sztyldo godzące w Schillera — realiste.

Niepospolite za to piękności jest pierwszy obraz widowiska, wspaniała przez Schillera przeprowadzona scenicznie. Głęboki, zamglony nocny pejzaż podalejskiego biwaku żołnierskiego; nad umęczoną, nieufną gromadką tułaczy unosi się dwie charakterystyczne, samotne pinie, doskonale wyznaczające topografię akcji (szczególnie przez inscenizatora i dekoratora przeprowadzona zmiana wskazówki autora, który tu chciał widzieć „gałęzie wielkich wiozów i kaszanów”). Ani jednego zbitecznego szczegółu. Z kotła nad płonącym umownie ogniskiem unosi się smułka pary. Ona i trzask łamanych drew — na ogień — to jedyne szczegóły wyerstyczne krajobrazu, wstrząsającego nastrojem realizmu, dalekiego zarówno od fotograficznych dokładności jak i formalistycznych rozwiązań. Wyczuwa się głębołą, niemal dotykającą, łączność obecnej zresztą przyrody z ludzką dolą zagłębioną w ten pejzaż gromady niedzary bez ojczyzny.

Sytuacja sceniczna tego aktu skomponowana malarsko i żywo. Plastyka postaci bez zarzutu; ton prosty, gorąca krwią pulsujący. Bez podnoszenia głosu, krzyku, patosu, deklamacji. Tekst chłopów dobrze akcentowany, charakterystyczne cechy gwar sugerujący, wywiera przejmujące wrażenie; wzrusza,

który ma za sobą broszurę polityczną ogłoszoną w r. 1790 (lub 1791) w Warszawie pt. „Ostatni głos obywatela polskiego”, domagającą się usamowolnienia chłopów i zrównania stanów, naradą u księcia Modeny, na której rozprawia się z feudalnymi — staje się trybuną polskiego sejmu, a probującą Targowicę i obce jarzmo dla obrony katolickich interesów. Te aluzje wyraził Schiller, przy pomocy dekoratora, środkami reżysera: tak usytuował grających, że sceny zbiorowe przypominały popularne obrazy sejmu Rzeczypospolitej Szlacheckiej. Osterwa równał swego Sulkowskiego z zebranymi jakby na towarzyskim spotkaniu u byłego księcia Modeny; Schiller Sulkowskiego stale z otoczenia wyodrębniał i na nim koncentrował główną uwagę.

Czas do poprzednich uwag, charakteryzujących koncepcję głównej postaci dorzucić jeszcze kilka zdań o odtwórcy Sulkowskiego — Andrzeju Szczepkowskim. Obok niefałszowanej młodości ma najszerze akcenty dobrze rozumianej i mądrej, prosto, podanego tekstu. Jest bardzo ludzki, prawdziwy, męski, choć słusznie sporo w nim naiwności romantycznego „słowian-ki” bohatera. Interesującą potrafił wybrnąć Szczepkowski z trudności aktu III i IV. By jednak uniknąć zarówno zdradliwej patetyczności, jak i niebezpiecznego liryzmu, pzeintelektualizował swą rolę tak, że zabrakło jej podskórnej niepokoju, gorączki i pasji, przez co — przy innych jeszcze błędach inscenizacji — porwać nie mogła.

Nie wdając się tym razem, dla braku miejsca w uzasadnieniu negatywnej oceny większości ról, zanotować jednak należy nazwiska odtwórców żołnierzy z aktu I (St. Srońka, T. Fijewski, J. Nowak, L. Ordon, Zb. Kryński, Zdz. Szymański, J. Klejner) i fragment roli Venture’a, wnosząc do wypowiedzianych w akcie V przez Wacysława Grabowskiego.

A więc? — Podsumujmy zmienione wrażenia z rewizjonistycznej inscenizacji „Sulkowskiego”. Schiller — wraz z Zespołem — potrafił umiejscowić historycznie w konkretnej rzeczywistości treść ideową dramatu i wydobyc jej narodowowyzwoleńczy nurt plebejski, borykający się w drugiej części utworu ze sprzecznościami i konwencją pisarską Żeromskiego. Tu Schiller niepotrzebnie zawałował i uległ, nieistej, biegowi drugorzędnej fałszy, że szkoda dla jasności i dynamizmu sprawy nadwziętej. Ta nadrzędna idea widowiska wyrażona jest wspaniale w pierwszym obrazie widowiska przez konkretnych ludzi, pogłębionych psychologicznie, zindywidualizowanych. Załuga to reżysera, aktorów i scenografa. Natomiast sygnalizowane w artykule niedopatrzności i błędy reżysera oraz zle, bo żadne (poza odtwórcą Sulkowskiego) zagrania aktorskie w dalszych aktach, zwały horyzont polityczny i psychologiczny widowiska, zamuliły wydobycie uprzednio, czyste, ożywcze nurt.

Przedstawienie, zrodzone ze słusznej i twórczej koncepcji, wymaga stanowczo reżyserkiej i aktorskiej dopracowania.

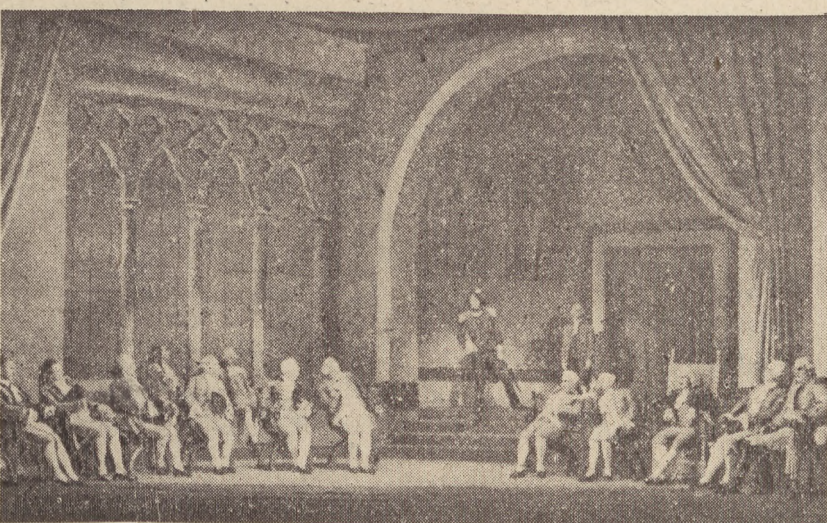
Wartość koncepcji inscenizatora i scenografa tkwi — powtórzę należy — w tym właśnie, że obaj realistycznie treść dramatu starają się wypowiedzieć — i czynią to na ogół konsekwentnie i szczerze — podporządkowaną treści ideowej realistyczną formą, dla której szukają rodowodu w postępowych tradycjach polskiego teatru poetyckiego.³⁾

Stanisław Witold Balicki

¹⁾ Część drugą artykułu omówi obłę wersje sceniczne „Grzechu”.



Rys. E. Głowacki
A. Szczepkowski
w roli Sulkowskiego.



„Sulkowski” Żeromskiego w Teatrze Narodowym w Warszawie. Scena z aktu II-go.

skonałej spełniać postulat jedności treści i formy.

Przypatrzmy się, jak sobie z tym radził Schiller, mający przy „Sulkowskim” niewątpliwie trudniejsze zadanie niż Korzeniowski przy „Grzechu”, ponieważ — po pierwsze: fakt, że rękopis „Grzechu”, zupełnie zlekceważony przez samego pisarza, dotarł do teatru po 54 latach od chwili powstania i to dotarł w formie okaleczonej, upoważniał inscenizatorów do potraktowania rękopisu jako niewykonywanego utworu debiutanta i udzielenia mu pomocy — w pierwszym rzędzie dramaturgicznej. Zadaniem zaś Schillera było obalenie złych tra-

wszyscy wykonawcy zawiedli. Schiller nie potrafił postawić i wyegzkwowować ról. Z głębokim zrozumieniem, czysto i z przekonaniem grany Sulkowski, od drugiego aktu uderzał w pustkę i nudę. Zawinił tu jeszcze Schiller brakiem decyzji w koniecznych skrótach.

Przez utwor Żeromskiego idzie poważne pęknięcie z winy samego autora; to sprawy aktu III i IV.

Zeromski, jak wynika z jego listów z okresu pracy nad „Sulkowskim” (wydanym w r. 1910) — zająwszy się od opowiadania „O żołnierzu tułaczki” po „Popioły” zagadnieniami polskimi w epoce napoleońskiej — zamierzał teraz stworzyć



„Sulkowski” Żeromskiego w Teatrze Narodowym w Warszawie. Reżyseria: Leon Schiller, scenografia: Jan Kosiński. Na zdjęciu scena z aktu I-zego.



Rys. E. Głowacki
St. Srońka w roli Zawilca.

ANTONI OLCHA

ilustrował KAJETAN SOSNOWSKI

W gnieździe niewiadomieckich Wierzbowców

(Rozdział z powieści „Kołyska bohatera”)

Są na wsi domy, do których zarówno swojacy jak i obcy latami nie zaglądają, chyba że ich weśle albo śmierć czyjaś do tego przymusi. Bywają zaś takie, co dzw. ną jakąś mocą przyciągają ludzi do siebie, tak że — nie zapraszani — sami tam przychodzą i gawędziarze i milczki, a prawie też zawsze wadzi o nie Cygan, dziad, wędrowiec. I niekoniecznie te ulubione miejsca posiadów wabia swoją okazalnością czy zamożnością swoich gospodarzy. Przecież na przykład chałupa Katarzyny i Kaźmierza Sularczyków nie grzeszyła przestronnością — czteropiętrowa rodzinna gnieździła się w jednej izbie, służącej równocześnie za kuchnię, wędzarnię drewną i pracownię bednarza. Niekiedy zamieniała się w izbę tańczącą, bo Kaźmierz, prymista wsiowej kapeli, grywał na skrzypcach; albo w rodziną czytelną, bo Kaźmierz, jako wierszy układacz, więc po trochu ludowy poeta, prenumerował gazety i książki rozmaite, tudzież stare kalendarze gromadził za obrazami.

Częstym gościem była Róża Piastruńska, sąsiadka, roślina, zwana kobieta, żona niezłotkiego latarkarza Damazego. Naczytawszy się do syta wszelakich wiadomości z kraju i ze świata, podawała je dalej we własnym ujęciu. Katarzynę to gniewało.

— Nie powinienesz tak dawać Piastruńskiej gazet — buntowała męża. — Ona się po wsi chwali, że wszystkie nowiny wie od swego chłopca i pieszni się: „mój Damazy doskonale zna politykę”. Masz za twoje dobre serce, co się jeszcze na prenumeratę wykosztujesz!...

Gorzej zachowywał się rówieśnik Sularczyka — Wawrzek Wiśtyna. Ten nie tylko zwał gazet, ale i okularów, bo drobniejszego druku nie dowiódł, a potem sarkał: „Po co ty, Kaźmierz, pieniądze trącasz na to pieronstwo? Co z tego ich pisanie? Co jeden — inaczej kręci, a nam jak było tak jest”. Tę sędził, lecz niechby mu odmówiono tygodnika i okularów! Pogniwałby się na śmierć.

Kiedys, znalazłszy na pierwszej stronie „Głosu wsi” wierszyk Sularczyka, wydał wargi, że — „wielkie mi rzeczy! Sam bym poezję składał, ino pniaki karząc — to raz, a drugie — stół mi capnęli egzekutory”.

Istotnie, zabrał mu stół i szafę, ponieważ zalegał z podatkami. Za to pomógł się później na jednym „panu z teczka”, co uczestniczył w owej licytacji. Podczas następnych odwiedzin u Wiśtyny urzędnik skarbowy myślał niebezpiecznie o mrocznej stajni, gdzie stała bardzo zła kobyła, przezwana przez właściciela „Gryzicą”. Zdarzyło się, że i drzwi od stajni, zaopatrzone w coś na podobieństwo zatrzasku, jako że w Niewiadomcu nieustannie zabezpieczano się przed złodziejami, zamknęły się same za gorliwym egzekutorem. Wiśtyna wsadził głowę w okienko wycięte w przeciwniejszej ścianie i posturuchując „Gryzicę” okułym k.jem młynkowym, jakoby w obronie przypadkiem uwężłonego, doprowadził zwierzę do prawdziwego szalu. „Gryzica” rżała dziko, waliła kopytami o ściany i dyle aż stajnia dygotała i nawóz pryskał na wszystkie strony. Egzekutor zwił się ze strachu, wprost cudem unikając kobyliczych zębów i kopyt, a papiery z pieczęciami fruwały razem z gnojem. „Gospodarzu — jęczał urzędnik — ratujcie! — Przecie pana bronie, nie widzisz pon? — dął się Wiśtyna. — Otworzyłbym ci drzwi, ale cię kobyła zatratuje”. — „O, rany boskie, zmiłujcie się!” — „Odroczysz pon egzekucję?” — „Odroczę”. — „Ja diabliś trochę odgonię, a pon skocz ku mnie, wyciągnę cię przez okienko” — wpadł na pomysł gospodarz. Wyciągał go za łeb Wiśtyna z Fabianem Sobierajem i innymi, ponieważ ludzie właśnie nadbiegli; udało się im, wszelako w wąskim stajennym otworze służącym do wyrzucania gnoju zostały spodnie egzektora. „Staną przed nami przez portek” — opowiadał potem Wiśtyna. — „Mato nie płakol. — A widzisz pon, rzekne, jakie to dobre przyszłowie — nie czyni drugiemu, co tobie nie miło? Nam tyż się na płacz zbiera, kiedy pon ku wsi jedziesz”.

— Oj, Wawrzku, nie wychowasz ty ich — śmiał się Kaźmierz. — Jeszcze się kryminału dorobisz.

Nieprawda, co by nie, wychowam — powtarzał z niezłomnym optymizmem Wiśtyna, mrużąc kąpięko bure, głęboko wciśnięte oczu. Szerokoplecy, lekko zgarbiony, całe dnie spędzał na górzystym wybie, z którego postanowił uczynić dobre orne pole. Pracowali tam obaj z ojcem, milczącym, bezbębennym starcem, noszącym długie włosy, przyczynane staromodnym obyczajem tylko o tyle, by na ramiona nie spadały.

Będziemy mieli w przyszłym roku wyciosną wiosnę — powiedział Wawrzek. — Po ptakach sądzę? Tak, po tych, co roboty szukają między Gdynią a Zakopanem. Nocował u nas jeden pozawczorem.

Niejaki Adam Banaś. Metalowiec z Radomia.

Kaźmierz zdziwił się.

— Znajomość?

— Powiadom ci, warto posłuchać — mruknął Wiśtyna. — On jeszcze do mnie zajrzy — dodał po chwili znacząco. — Chce przeziębować pod Rąbką Robotę mu tu gdzieś obiecuje.

Muzykant nie ciekawił się metalowcem. Metalowcy, włókniarze, budowlani, robotnicy fizyczni i pracownicy umysłowi — kto to nie próbował jałowej kwasnicy w Niewiadomcu. Bardziej interesujące było teraz, czy sadza ze słodkim mlekiem zastąpi pastę i da polysk cholewom. Szorował je szcztoką tak zaciekłe, że aż mu pot kapął z czoła i spływał po brudziściej policzku.

W święta Sularczyk nosił wysokie buty ze sztywnymi cholewami i spodnie wojskowego kroju, kupione niedawno od żołnierza na urlopie, i do tego kusą marynarkę, uszytą

się pod piecem, stają się napastliwe, głos jej pobrzmiwa chytrą natarczywością. Kaźmierzowi sprawia to przykrość, lecz udaje, że nie słyszy, zajęty wyglądaniem przez okno.

— Zajdyn gdzieś jedzie — informuje — ten, co z aptekarzem Li. curą sklep ma. Do polityki się również bierze. Naszego dziadka namawiał do założenia ludowej organizacji we wsi...

— Jak słowo daję, przemaluję. Ale! Co?... Nic się nie bójcie. O rany, przecież to dopiero przed tamtym tyżniem dobyła z kufra. Nikt tego nie zna, kupcie i zdechni pies, no?

— Buty Zajdyn robi najlepsze, ale po co mu sklep i polityka? Kasiu, Kasiu, patrz, ino, Zajdyn to czy nie Zajdyn?

— Co ci zaś w głowie? Wyjdź, jak nie możesz słuchać — złości się żona i do Piastruńskiej znowu jak najśłodziej. — No, kumosi, jakże zrobimy?



przez miejscowego krawca-parafca. Głowę okrywał szarym kapeluszem z wiewiórczą kitą z tyłu. Róża Piastruńskiej bardzo się ów strój podobał. Sprawiała podobny swojemu chłopu Damazemu, lecz on kapelusz przepił w Nadskawiu u Stąskinda, a buty mu sięgnęły jacyś hultaje, gdy sobie zasnął w ogrodzie za restauracją, wyciętym pijakim trudem. Od tej pory Piastruński był trzymany przez żonę w cuglach, chodząc ubrany byle jak i na wodkę musiał zarabiać kleczeniem drewnianych latarek z oszczędnościowymi kagankami, do czego miał rzeczywiście niewielki spryt.

W pierwszą niedzielę grudnia po południu Kaźmierz stał w oknie swojego domu, przypatrzył się przechodniom, którym ciężko było iść po oblodzonej drodze, bielejącej cieniutką warstwą młodego śniegu. Muzykantowi nie było wesoło, jako że musiał na czas adwentu powiesić skrzypce na kołku. Jedyną muzyką był teraz szczekotliwy hałas, jaki sprawiali blaszane miski i garnki, zmywane w kuchni przez Stefka i Hanusię, dzieci Sularczyków, oraz dzwony głos Róż. Ta rozsiadła się na drewnianym stołeczku na środku izby, polyskującą białą wykończoną bluzką z bufiastymi rękawami, grzejącą uroczyście w kapiastej obfitości kolorowych spódnic, osypana złocistymi frędzlami jedwabnej chustki — metrowki. Małą llniano-włosą głowę przechyliła na ramię lekkim ruchem zaciekawionej sroczki i zachwycała się starymi fotografiami Kaźmierza w ułańskim mundurze. Z niebieskawych ścian, huszczących się zeszłym wapnem, spoglądały bystre oczy junaka w twarzy z ciemnymi, podkreślonymi do góry i azywno sterzącymi wąsami. Tu Kaźmierz konno, z obnażoną szablą w dłoni, tam zaś stoi z jakimś podoficerem, wsparty na czymś w rodzaju podstawki do kwiatów. Najbardziej jednak okazałe wygląda na tle potężnej góry lodowej, jeziora, statku z żaglami i zamku u stóp lodowca, pięknego zamku w gęstwinie kwitnących róż.

Nikt w Niewiadomcu nie ma czegoś takiego — wdycha Piastruńska — Mój Damazy dałby wam pół majątku za to zdjęcie, jakby się jno udało zmienić podobieństwo. Miałby dowód, że i on wojował — w słowach jej brzmie więcej smutku niż kpiny. Katarzyna bierze je zresztą na serio, proponuje skwapliwie:

— A co, niech kupi, sprzedamy, prawda Kaźmierz? Proponuję fotografa w Nadskawiu, niech przemaluje wasy na obrazku. A co, sprzedamy, czesne wypada płacić za Stefusa. Czesne w Miejskim Seminarium to teraz prawie pół krowy za jeden miesiąc nauki. Pięć krów w roku... No, jakże?

Piastruńska śmieje się. Poczciwie, oczu drobnej Katarzynki, grzejącej

Z kłopotu wybawił Piastruńską wyrostek Bartuś Stachecki. Przybiegł zdyszany z wieścią, że dziadek Wierzbowiec strasznie zasłabł i pewnie będzie umierał.

W domu Sularczyków powstał krzyk i zamieszanie. Dzieci jęły zawodzić, biegać jak oszalałe. Katarzyna rzuciła się do wzuwania koślawych, wysoko sznurowanych trzewików.

— Moje serce to czuło — załkała sucho, nerwowo. — No, i coś stanął jak kół — krzyknęła na Stefankę. — Bierz papier, pióro i atrament! Prędej! Spisziesz testament. Hanusia, ubieraj się, smarkuło! Kaźmierz, ciebie zamurowało czy co? Co się nie odezwiiesz? Prędej, na Matkę Boską Kałwaryjską, bo tam Romek ze swoją do brze pazury ostrzą... Bartuś, dziecko, połączaj kół do wujcia Romka?

— Teraz dopiero po nich lecę — mruknął wyrostek, wbijając wzrok w czubki swoich buciurów za dużych na jego nogi.

— Mójesz ty! — pogłaskała go Katarzyna.

Piastruńska tkwiła nadal nieporuszoną w malowniczej pozie. Ofiarowała się przypilnować Sularczykom domu. Obiecała dać krowie owianej słomy, gdyż gospodarze nie zdążyliby tego zrobić, a Winoś może się nudzić. Oni wrócą chyba późnym wieczorem. To za leży zresztą od tego, jak długo dziadek zechce konać. Bartuś powiada, że się chory skarży na duszność, mdleje i nogi ma spuchnięte.

Piastruńska podzi Winochę, gdyby długo nie wracali. Mleko przedcedzi przez powązkę do pękatego gliniaka, co stoi na oknie. Oczywiście.

Już w biegu przez pola Katarzyna zapinała guzików granatowej kurtki z króliczym kołnierzem. Pędząc tuż za dziećmi pouczała je, przeplatając rozkazy krótkimi zawołaniami, pojękami.

— Hanuś, proś dziadka o pole na Zarębkach. Ukochaj go za nogi, za szyję, proś, ciebie dziadek lubi... Słyszysz, Hanuś, chwyć dziadka za nogi, przytul się i nie odstęp, aż nam zapisze!...

Potknęła się w brudzie, rozbita kolano, lecz nie zważając na to znów biegnie, przeskakując po dwa zagony.

— Stefanku, i ty proś, Stefanku, ale ty pisz testament, bo ojca do takiej rzeczy nie użyjesz — ogładnęła się, gdzie Kaźmierz, dlaczego przepłatając rozkazy krótkimi zawołaniami, pojękami.

Jan Wierzbowiec ożenił się był z dziewczyną, która służyła do krów u jego ojca. Na imię jej było Józula, wolano na nią Józula, była siostrą, miała jedną spódnice i katankę robotną, jedną spódnice i katankę kościelną czyli odświętną. Parę buciurów i starą wełnianą chustkę po matce. Nie pochodziła jed-

nak z biedoty wyrobniczej, tylko jej rodzic pili i przepili trzydzieści morgów ziemi. Później, kiedy już nie miał nawet co zjeść, nie prosił o ziemniaki, o płacek, ino o gorzałkę. Schodził z tego świata honorowo, ponieważ spirytus się w nim zapalił i rodzic Józuli nie pozwolił sąsiadom gasić tego pożaru żadnym haniebnym sposobem.

Jan pokubił Józulę za żywość i beztróskę asposobienia, rzetelną pracowitość, schludność i wdzięk kobiecy, który zachwycił do późnych lat swego życia. Spotykało się dziewczęta ładniejsze od niej, zamożne, a przy tym gotowe wiele poświęcić, byle tylko przywiązać do siebie kawalera z gospodarskiego rodu, zwłaszcza że wsiowa opinia zmuszała najczęściej do ożenku takich, co sobie przed ślubem pozwolili. A jednak nie wytrzymywały porównania z Józulą, chociaż ona zrzuciła Jana ze strysku na boisko — i to tak na łeb, na szyję! — kiedy spróbował zaskoczyć ją raz podczas snu. Szczęście, że zleciał z niezbyt wysoko i nie trafił na kose, postawioną pod ścianą przez nierozgarniętego pastuszką ostrzem do góry.

Nie wtedy nie powiedział, że za kłął nawet, tyle ino że stał się podejrzliwy. Od owego czasu zaczął poddawać Józulę najrozmaitszym próbom. Postarał się więc na odpuścić odurzyć i podniecić ją arakiem, by potem samemu zniknąć, zostawiając dziewczuchę w towarzystwie będącego z nim w zmoście kolegi. Kolega ten długo później chodził z podbitym okiem. Wierzbowa co to naturalnie kosztowało. Dopuścił także udając całkowitą obojętność, aby szła na tańce bez niego, po czym śpieszył ukradkiem trop w trop, śledził, podglądał pod oknami, czy też nie pozwalała się ona komukolwiek wyprowadzać do sadu w tanecznej zawieszce.

Ponięwał wszystko to nie dawało wyników ujemnych, przeto ożenił się z Józulą, nie bacząc, że on miał dom, budynek gospodarski i dziesięć morgów ziemi, a ona nie. Postąpił roztropnie, bowiem żona starała się mu za to wywdzieżyć przez całe życie swoją gorliwą pracowitością, zabiegliwością i niezmiernym dążeniem do pomnożenia dobytku, do powiększenia majątku.

Nie można było nie mieć uznania dla Jana z powodu jego przewidującej dalekowzroczności. Gospodarskiej rozważli w podejmowaniu ważnych decyzji nie mogli mu odmówić nawet ludzie zazdrośni, niechętni dłań, co małżeństwo jego z Józulą służyło piętnowali wyśmiechem i obmową.

Kiedy Janowi zaczęło się wyrażnie daryć — bo i przychołek w oborze, i ustawiczne dokupywanie pola, i trzykrotne co roku świni zabijanie o tym świadczyło — opinia Niewiadomca obróciła się na jego korzyść.

Józula zadziwiała zgarniaczy morgów swoją zrzecznością. Z odzieniem zawistnego podziwu opowiadano o niej historię następującą:

Kiedy Feliks Pakoś w przeczu-

ciu rychłej śmierci postanowił prze-

placić nie wiadomo jak wiele. Ci tedy, współzawodnicząc również między sobą i pragnąc jeden drugiego przetrzymać, polili wspólnie Pakośa wczoraz nie była w modze, że zaś cztery małżeńskie pary pijących i sprzecających się kumotów zapomnieli o gotowaniu czegośkolwiek, doczekały się godziny przeraźliwego głodu, czarnego upadku sił i ducha. Chwilę ogólnej słabości wyzyskała Józula, która pojawiła się na placu zmagania z porządny garnkiem barszczu na wędzonce i ziemniakami, czym tak sobie ujęła Pakośa, iż jej od razu dał pole, przystając na wszystkie propozycje Józuli i nie cofając już potem danego słowa.

Rzekło się wyżej o Janowej gospodarce, albowiem Jan pozostawał wyłącznym właścicielem ziemi, dobytku, gotówki, chociaż Józula decydowała częstokroć bardzo samodzielnie, obdarzona bezgranicznym zaufaniem męża. Wszakże dopiero po wielkiej wojnie dostąpiła łaski hipotecznego zapisu na dwóch morgach, z czego zresztą połowa wróciła do Jana po jej śmierci.

Powodzenie w gospodarstwie zjednało Wierzbowcowi ogólne poważanie. Przy pierwszej więc nadarzającej się okazji Niewiadomec wybrał go wójtem. Wójtostwo nie pociągało Jana, który wolał spędzać czas na polach albo w kuźni, gdyż zajmował się kowalstwem na własne potrzeby, podobnie jak i inni fachami, stosując zasadę trzymania grosza we własnej kieszeni tak długo jak tylko można, niewydawania go lekkomyślnie w obce ręce. Większość urzędowych obowiązków w gminie wzięła na siebie Józula. Nie umiejąc pisać, nie umiejąc się nawet podpisać, wójtował w Niewiadomcu przeszło dwadzieścia lat. Wiele spraw załatwiała na własną rękę, że ani mąż o tym wiedział, słyszał — popijała z chłopami po karczmach, zresztą z umiarem, choć bez obawy, bo wójtowska pieczęć zawsze leżała w dobrze przymknietym, zamczystym kufrze, jako że jej Jan pilnował skrupulatnie. Podawała Józula dzieci do chrztu, zajmowała pierwsze miejsca na weselach, była doradczynią i powiernicą wielu skłopotanym niewiadomczom, godziła powaśnionych sąsiadów, ratowała wioskowych zawiadków przed surowością żandarmów jego cesarskiej i królewskiej mości. Bywała niewyczerpana w pomysłach i nieustępliwa, kiedy chodziło o wybrotnie gminy od plag kosztów związanych ze zgonami i pochówkami na obcym terenie podchodów z Niewiadomca. Dbała też pilnie, aby w Niewiadomcu żaden obcy dziać nie prowadził konszachców z niebieską chwałą. To zapewniło Józuli część u niewiadomieckiej starożyny. Tych spraw nigdzie indziej po gminach tak ładnie załatwiała nie umiano, co by i z przykazaniami mi być w zgodzie, i z własną eakiewką.

Procesy o miedzę, skrawki lasu, o drogę przez łąkę Fabiana Sobieraja prowadziła czterokrotnie, Swiadków, komisje, zwady, przysięgi i adwokatów, stawanie w sądzie i pomstowanie tych co prze-



Ale za Fabianową łączkę przebiegała nie spodziewała.

Józula urodziła Janowi siedmioro dzieci: cztery córki i trzech synów. Sama zaś w ciągu lat przeobraziła się z silnej młodzi w rozróżną kobietę o pełnych kształtach, rumianą, płomiennooką, pewną siebie i wygadana. O tym, jak musiała się podobać chłopom, świadczyły owe żarty nie-żarty nadzwyczaj mile dla Jana, rzucane przy różnych okazjach przez podochoczących gospodarzy: — „Jak by tak, nie daj Panie Boże, mego umarła, i jakbyście tak wy, Józulo, nie daj Panie Boże, swojego Jana pochowali, tobyśmy się z boską pomocą pożenili, co?!”

W lutym 1913 roku dwoje dzieci Wierzbowców, a mianowicie syn Piotr i córka Cecylia otrzymały „szykarty” do Ameryki. Urządzono im również w domu pożegnanie uroczyste z muzyką i poczekaniem dla sąsiadów. Z jedzeniem pszenicznych kołaczów, pićmi herbaty z rumem, niezależnie od popijania gorzałki i piwa. Nie obyło się bez kleczenia przed obrazami, błogosławieństw, płaczów i śpiewów, rozdzielających serca.

Wszystko to było zarazem wyposażeniem tych dwojga, ucieleśnieniem wszelkiego ich spodziewania, że jeszcze cokolwiek mogliby otrzymać w przyszłości tytułem majątkowemu nadziałowi; było skwitowaniem ostatecznym, skwitowaniem na amun dziecinnych pretensji.

Mówiono natomiast wiele o przyszłych obowiązkach wyjeżdżających dzieci wobec pozostających w wsi rodziców oraz siostr i braci. Co znamienisty wioskowi głowacze rozważali, jak lepiej przysłać dolarów, co by ich kto nie ukradł po drodze, a więc: w listach? czy w paczkach z odzieżą? Najwięcej uznania zdobyła rada, zalecająca posługiwanie się kopertami z cieniem bibułkową podszewką, wkładanie dolarów za tę właśnie bibułę.

Podniósł nastrój zmąciło zachowanie się Piotra. Kawaler ten zalecał się do dwóch dziewcząt w sąsiedniej wiosce, nie mogąc zdecydować, którą z nich woli. Teraz, w obliczu emigracji za morze, przewyżającej wszelkie serdeczne rachuby związane z okolicą Niewiadomca, odrzucającej od bliskich, nieomal jak śmierć — młodzi poświęciły ostatnie chwile na pisanie listów na umór i czułości, które wzmagają jeszcze goręć rozstań. Z powodu Piotra omal nie spotkniono się na pociąg. Chłopak pokazał się dopiero w denerwującym do ostateczności momencie, wydartym z dziewczęcych ramion przez Romka i Michała, kiedy Cecylia siedziała już z matką na wozie, gdzie położono też drewniane kufki z niezbędnymi kłódkami. Muzykanci grali przejmującą pieśń pożegnalną, tłum chłopów, kobiet, podrostków i dzieci zawodził jak na pogrzebie. Stara ciotka Maria podnosiła kropidło, umoczone w święconej wodzie, do której na wszelki wypadek dodała kapkę wywaru z czarodziejskiego zioła, aby młodym emigrantom zapewnić opiekę sił przemoimych. Młodych od Piotra o dwa lata brat Michał, który do szkół uczęszczał, przeznaczony na księdza, sztywny i uczysty w swoim granatowym mundurze ze złotymi naszywkami na kołnierzu, zbliżył się do ojca, mledując sucho, że Piotr się znalazł, tylko wyjeżdżać nie chce.

W takich okolicznościach dostali się Piotrowi na pożegnanie trzy krępkie uderzenia w głowę twarzą jak podszawa dłoń. Przez kilkanaście lat potem Pietrek nie napisał do domu jednego słowa, trzeba było dopiero śmierci matki, żeby sobie przypomniał o rodzinie.

W roku emigracji Pietrka i Ceki Jan Wierzbowiec liczył lat czterdzieści sześć. Józula zaś niewiele ponad czterdzieści. Ponieważ młodość się byli pobrali i młodo też wydali córkę Michałową za bezdzietnego wdowca w Toporowie, niejakiego Stacheckiego, stał się wcześniej dziadkiem. Michałina miała troje dzieci: Joannę, Anielicę i Bartusia. W czasie pierwszej wojny światowej Stachecki poległ nad Piawą. Michał umarła na hiszpankę. Wierzbowowie musieli zabrać wnuczęta na wychowanie.

Synowie Wierzbowców Roman i Michał również brali udział w wojnie, lecz już pod jej koniec. Udało im się wyjść cało. Romek przyniósł do domu medale za waleczność okazaną w walkach o Warszawę i Białystok. Wróciwszy do Niewiadomca zapowiadał buńczucznie, że niczego nie weźmie od rodziców, ponieważ lada dzień rząd rozda chłopom dworską ziemię. W pobliżu był większy majątek polsko-węgierskiego barona Maksymiliana Rakockiego — Zaborowa — cztery tysiące morgów lasu i ziem, innej Rzecz tym bardziej wadała się niewątpliwa, że ów baron w decydującej chwili umknął do Wiednia i długo się potem nie pokazywał. Gruntów barona pilnowała wszakże policja, toteż nie należało się wymierzania sobie tamtejszych parceli przez co gorętszych niewiadomczan. Były też i inne tak pokaźne jak zaborowski ma-

laski ziemskie — w Toporowie, Łętowie, Toczarach, lecz i tam nie udało się nikomu uszczknąć własności dziedziców.

Baron Rakocki przyjechał nareszcie z zagranicy. Wydał on polecenie obsadzenia lasem prawie wszystkich pól ornych. Miało to być zabezpieczenie na wypadek, gdyby jednak rząd poszedł na jakieś reformy.

Roman Wierzbowiec długo nie mógł zdobyć samodzielnego stanowiska jako gospodarz na własnym zagonie. Ożeniony bez wiedzy rodziców, nie początkowo od nich nie dostał, dopiero po kilku latach zlitował się wydzielać mu dwie morgi, obdarzając go także krową. Z tym, co wziął z żoną, miał około trzech morgów ornego i nędzny



olszynowy laszek nad rzeką. Mieszkał katem u Halembów, swoich teściów, jak komornik, sposobiąc się powoli, z roku na rok, do budowy swojej zagrody. Chodził zimą w klerkach. Latem boso, choć to było oznaką wielkiego zubożenia. Palił fajkę, żeby oszczędzić tytoniu. Unikał jarmarków, aby się nie skusił na porcję gotowanego mięsa, na wypitkę. Harował on i swoją Elżbietę gnał do roboty jak wół. Jedyną rozrywką dla nich były domowe kłótnie lub zwady z sąsiadami.

Michał ukończył po wojnie studia prawnicze. Przekonywał rodziców, że jako adwokat znacznie lepiej będzie zarabiał, niż jako ksiądz. Dotrzyli się zgodzić, chociaż inaczej patrzyli na te sprawy. Osiedlił się młody mecenas w podkrakowskim miasteczku, ożenił się z córką jakiego kupca, do Niewiadomca rzadko zaglądał, a jeśli przyjechał, to nawet matka zwracając się doń mówiła „panie Michasiu”. Pan Michaś surowo oceniał chłopie wieści, upatrując w nich główne źródło niedostatku, więc też kiedy jakiś podobny mu inteligent napisał książkę o wsi, w której przyznawał chłopom jedynie zdolność do wzruszeń na poziomie zwierzęcia, uczony Wierzbowiec wyraził się, iż jest to odkrywcze dzieło pogłębiające naszą wiedzę o ludzie podnależnikim”. Mecenasa chętnie nawizywał znajomości w środowiskach mieszczańskich, gdzie inni młodzi ludzie mawiali o sobie jako o „preintelektualizowanych inteligentach”, aczkolwiek większość z nich z umysłowych rozrywek najbardziej ceniła danc’ngi i briaż. Pan Michaś nie uchylał się wcale od posyłania rodzicom drobnych kwot pieniężnych przed każdymi świętami oraz na imieniny obojga.

Grunt Wierzbowcowie dzierżyli twarzą. „Po naszej śmierci — mawiali — będziecie się brać, teraz nie”. — „Dość już tego” — wrzał zaniem Jan, bo tak: nie żyjącej żony Michał nie dał być całe cztery morgi, które wprawdzie wróciły doń, ciągnąc za sobą jeszcze cztery chłopskie, alicji ta ośmizna raczał, więc Jan zrywał się, gdy kto zliczał ją razem z jego morgami. Najmłodszą Kasię, zameżdzoną za bednarzem Kazimierzem Sularczykiem, odciął półtora morga, i Kazimierz nie miał swego domowego mórg. Kasię przyobiecano jeszcze dwa morgi, była to jednak hojność Józuli, a ten szczegół nie jest bez znaczenia. Na Michałowe szkoły poszły cztery morgi; wprawdzie ich nie sprzedali, ale to na jedno wyszło, gdyż — gdyby nań nie toczyli — tyle by właśnie lekko mogli dokupić. Stary Wierzbowiec mówił, że pozostaje mu około dwudziestu morgów, w istocie zaś właściwie dał trzydziestoma.

W domu siedziała niezameżdzona córka Janina, której siostra odciała kiedyś trzy palce u prawej ręki. Być może, z tego powodu ona jedna nie mogła znaleźć odpowiedniego kawalera i pozostała etatową panną. Pracownica z niej była dobra.

Na przedwiośniu roku 1930 urodziła Józula Wierzbowcowa. Narodziła się ostrego zapalenia płuc powołała przekopywania rowków, mających odprowadzić zbytek wody z nisko położonego pola oziminy.

Jan stracił najsilniejszą podporę w gospodarstwie, najlepszą i najwerniejszą robotnicę. Umierając przekazała po małym półku Romkowi. Jance i Kasi, oddając natomiast Janowi połowę posiadanej na własność ziemi. Tego rodzaju rozporządzenie nie zyskało pochwały w oczach starego Wierzbowca — uważał on, że wszystka własność Józuli powinna się dostać w jego ręce, a dopiero on by obdzielił dzieci według ich zasług i swojego uznania.

Schodząc z tego świata Józula widziała chyba, że Jan bodaj pierwszy raz od czasu ślubu ma na prawdę ważny powód do niezadowolenia. Zylł ze sobą zgodnie i dobrze, rozstawiali się zaś z wzajemną urazą do siebie.

Wierzbowiec, i przy zdrowych zmysłach będący, tę swoją wolę czyniła wiadomą... — dyktowała pośpiesznie Stefanowi.

Jan wytrzeszczył oczy szeroko, rysy mu zeszytniały. Twardym ruchem ręki odsunął od siebie beczącą córkę Sularczyków. Tak, istotnie, w nocy dwukrotnie tracił przytomność. Powtórzyło się to jeszcze dziś po południu. Ale kto im powiedział, że on, Jan Wierzbowiec, pragnie sporządzić testament. Widać, pożądają jego śmierci. Nie mogą się doczekać, kiedy posiadają jego ziemię. Umieją po gotowe wyciągać pazure rękę. No więc tak to...

Teraz Jan się podnosi na pościeli, opiera się na łokciu. Pod rozpiętą zgrzebną koszulką błyszczą potem włochata, silna pierś. Kraglę, krótko ostrzyżoną, siwiejącą głowę o nisko sklepionym i nieco wkleśniętym czole pochyla, napinając szeroki kark, zastanawia się chwilę.

Cisza jak maknem zasiał zalega świetlicę. Janina, ta bez trzech palców u lewej ręki, i dwaj sąsiedzi Jana wchodzą do izby stąpając na palcach. Wnuczęta Bartuś i Anielka stanęły w kacie. Joanka zatrzymała się w drzwiach z kubkiem gorącego mleka dla dziadka, Kaźmierz coś do niej szepce Roman, Elżbieta, Kasia i Halembina naparł ciasnym kołem na łóżko chorego. Spojrzenia ich są takie, jak gdyby chcieli nimi wyrwać z Jana niby hakami pożądane dla siebie zdania.

— Wy — przemówił nareszcie Jan chrypliwym szeptem, narastającym z każdym słowem w głuche dudnienie — wy... Joanko, dej no mi kijal...

Antoni Olcha

JAN GAŁKOWSKI

DZIECIOM

I

Głaskałem główkę —

twoje włosy

są miększe od puchu pisklęcia,

oczy

są tak ufne i wesołe,

że nie wierzę w wojnę.

Zaniosę twoje bućki do szewca —

niedługo pójdziesz do szkoły.

II

Wiem, że kochasz kota —

nieraz

trąca cię puszystą łapą,

dziwi go

taki mały człowiek,

co lubi chodzić na czworakach.

Wiem, że kochasz wróble —

są szare

i dużo większe od muchy,

lecz kiedyś dowiesz się,

że byli ludzie,

co żalowali głodnym dzieciom okrucichów.

Kochasz wszystkich,

wiesz o dobroci ludzkiej twarzy,

i jakżebyś się śmiała,

gdyby cię chcieli straszyć

Cyganem albo kominiarzem.

III

Z wiślanego złota,

sypkich okrucichów blasku

budujesz dom.

Rośnie pagórek

zółtego piasku

o drzewach z muszli

i oknach z kolorowych kamyków.

Jest już dach,

są kominy z patyków —

i spójrz:

ponad domem

jest prawdziwe niebo

z wiślanymi wiatrów gonitwą —

kraży ptak,

który nie zburił twego domu —

rybitwa.

STANISŁAW MARCZAK-OBORSKI

„Panna bez posagu“ Ostrowskiego w Warszawie

Kiedy w połowie ubiegłego stulecia początkujący autor dramatyczny Aleksander Ostrowski debiutował na scenie — stary Jeremiasz, słynny dowódca, dyplomata, a także literat po trochu, miał się wyrazić o jego sztuce, że nie została napisana, a „sama się urodziła, jak grzyb spod ziemi wyrosła”. Podobnie wielki Dobrołubow nazwał potem utwory Ostrowskiego „spektaklami życia” („Dwójczy żył”).

Twórczość autora „Burzy” stanowi ogniwo między Gribojedowem i Gogolem a Czechowem i Gorkim, uzupełnia i łączy tradycje wspaniałej rosyjskiej literatury dramatycznej, jest niedającym się zastąpić etapem jej najcenniejszego realistycznego nurtu. O wielkości Ostrowskiego decydują bowiem nie tylko sceniczne walory jego dzieł i nawet nie mistrzowskie bogactwo i barwność języka — a przede wszystkim wnikliwe spojrzenie na współczesny świat, świadectwo i sąd o „carstwie ciemnoty”. I dlatego — nie bacząc na ponurą wymowę wielu sztuk Ostrowskiego, mimo tragiczny los jego najpiękniejszych bohaterów — krytyczna postawa pisarza, świadomość mechanizmu społecznego krzywdy jest świadectwem buntu i dążeń postępowych, jest niosącym nadzieję „promieniem światła” w owym „państwie ciemnoty”.

Wystawiona obecnie w Teatrze Powszechnym „Panna bez posagu” należy do wybitnych dzieł realizmu



„Panna bez posagu“ — Aleksandra Ostrowskiego w Państwowym Teatrze Powszechnym w Warszawie. Reżyseria: Karol Borowski. Scenografia: Zofia Węgierkowa.

krytycznego. Jej premiera nastąpiła w Warszawie po niedawnych przedstawieniach dwu sztuk podobnego rodzaju: „Rozbitków” i „Grzechu”.

Malując bohaterów negatywnych w „Pannie bez posagu” — podobnie jak w innych swoich dziełach — Ostrowski nie upraszcza sobie zadania przez karykaturalną deformację postaci. Jego satyra opiera się na budulcu pisarskim w pełni realistycznym. Ma on ów „szekspirowski chwyt”, który polega na niedającym się rozdzielić związku elementów komizmu i tragiczności, na stapianiu mądrej wiedzy o świecie z momentami niezwykłego, zaskakującego wzruszenia, na łąceniu tego wszystkiego w jeden bijący prawdą obraz.

W „Pannie bez posagu” nikczemość życia, którym rządzi kapitał, pokazana jest w całym bogactwie odcieni ludzkich. Oto bogacz Knurów; jego podłość, chamska pogarda dla człowieka opiera się na poczuciu przewagi ekonomicznej; „dobrze temu na świecie, kto ma dużo pieniędzy” — stwierdza z przerażającą pogodą ducha. Oto jego kompan Woźwatow, agent handlowy, w którym instynkty przyszłego kapitalisty zaczynają brać górę nad młodzieńczym lekkością. „Wasilij Daniłycz jeszcze młodziak, a niech tylko zajdzie w lata, będzie taki sam” — powiada o nim wyga bufetowy. Dalej — Paratow, płomienny kochanek, ale niewierny, bankrutujący ziemianin, osaczony przez trudności materialne. Na koniec Ogudałowa, matka sprzedająca własną córkę dla utrzymania pozycji społecznej, ściśle związanej ze stanem finansów. „Jesteśmy ludzie biedni, trzeba nam się upokarzać przez całe życie. Więc lepiej upokarzać się za młodu, żeby już potem żyć po ludzku” — uczy Larisę.

Uwarunkowany społecznie stosunek pisarza do postaci nie rodzi schematyzmu — jak się to dzieje w wielu naszych nowych sztukach. Wprost przeciwnie — pogłębia i wzbogaca akcję Ostrowski nie jest moralistą ponadczasowym i zachwyty recenzentów katolickich dla „Bezposaża” są nieporozumieniem.

Ostrowski żył w latach narastającego w Rosji kapitalizmu. Pisał pod panowaniem Aleksandra II, który przeprowadził reformę rolną, ale w sposób umacniający prawa własności kapitału stycznie — obszarniczej, utrudniający zarazem rewolucję agrarną. Po okresie flirtu z liberalną opozycją nastąpił wzrost ucisku. Ostatnie lata autora „Złych dni” upłynęły pod berłem Aleksandra III, twórcy „ochrany”.

Nie dziwnego, że w tych czasach problemem niepokojącym pisarza była tragiczna samotność człowieka w ustroju rządzonym przez pieniądź. Larissa Dmitriewna, ograniczona, „niepotrzebna” dziewczyna nie jest w naszych oczach bohaterką pozytywną. Głęboko jednak wzrusza swoją bezradnością w świecie, w którym nie ma miejsca na miłość, nie ma miejsca na liłość, nawet na bezinteresowne przyjazne uczucie. Nie dadzą go wielbiciele, ani matka, ani kochanek. Nie potrafi znaleźć kontaktu również z narzeczoną, nieszczęśliwym i poniżonym diurnym. Różnice towarzyskie, określone przez warunki ekonomiczne — obyczajowe, uniemożliwiają nie tylko miłość pomiędzy nimi, ale nawet proste porozumienie się człowieka z człowiekiem. Motyw ten, częsty u Ostrowskiego, powtórzy się w komediowym wariacie w niegranej u nas dotychczas, bardzo interesującej sztuce „Talenty i wielbiciele”.

Pisarz z całą ostrością i wnikliwością umiał pokazać, jak warunki kapitalizmu deprawują i niszczą człowieka. Natomiast nie dostrzegając jeszcze sił rewolucyjnych zdolnych do przekształcenia życia. W „Pannie bez posagu” na słowo ludzkiego współczucia i na osąd ludzi stojących wyżej w hierarchii społecznej zdobywa się tylko nędzny aktor prowincjonalny Robinson. „O barbarzyńcy, o zbroje! Ale też wpadłem ja w kompanię!”.

Całe życie Ostrowskiego było ściśle związane ze sceną. Wychował się na teatrach moskiewskich z ich

ówczesnymi znakomitymi aktorami: komikiem Szepkinem — przyjacielem Gogola, tragikiem Moczałowem, Lwową-Sinieką. W swoich dziełach niejednokrotnie przeciwstawiał nikczemości sytych szlachetne odruchy wyklętych ze społeczeństwa i pogardzanych aktorów wędrownych. Parę sztuk poświęcił ludziom sceny: od „Komika XVII wieku” (o Gregorim, pierwszym organizatorze teatru w Rosji na dworze cara Aleksego) — do „Lasu” i „Niewinnych winowajców”. I znowu — żeby ocenić dojrzałość realizmu Ostrowskiego, wystarczy porównać te sztuki ze współczesnymi mniej więcej utworami o podobnej tematyce, na przykład z „Dumą kameliową” Dumas, czy „Scenami z życia cyganerii” Murgera.

Teatry rosyjskie w pełni doceniły mistrzowską sceniczność dzieł pisarza. Nie darmo jeden z najlepszych teatrów świata — Mały Teatr w Moskwie — nosi miano „Domu Ostrowskiego”. W szeregu kolejnych wystawień „Panny bez posagu” aktorzy rosyjscy dali niejedną kreację dobrze znaną historii teatru, że wymienię tylko młodszego Sadowskiego (Karandyszew na premierze w Teatrze Małym w roku 1878), Komissarzewska (Larissa). W inscenizacji z roku 1940 rolę tytułową grała znana z występów w Polsce M. J. Babanowa. W Związku Radzieckim utwory Ostrowskiego wystawiane są często we wszystkich republikach. „Bezposaża” na przykład grana była niedawno w Taszkencie po uzbecku.

U nas, w okresie międzywojennym, premiery Ostrowskiego należały do rzadkości. W Polsce Ludowej obserwujemy stały wzrost zainteresowania twórczością klasyka.

Ostatnie przedstawienie „Panny bez posagu” w Warszawskim Teatrze Powszechnym, przygotowane przez Karola Borowskiego, nie dorasta do poziomu celnej i drapieżnej inscenizacji „Wilków i owiec” tego reżysera sprzed paru lat.

W znacznej mierze zawiodła strona aktorska. Sztuki Ostrowskiego przynoszą materiał na znakomite kreacje, ale też wymagają roboty aktorskiej wielkiego formatu. Wykonanie w Teatrze Powszechnym — w najlepszych wypadkach poprawne — nie wykorzystano w pełni możliwości tekstu.

Należy podkreślić wysiłek Janiny Martini, która dla arcytrudnej postaci Larissy starała się znaleźć współczesny wyraz; była konsekwentna i ujmująca — zwłaszcza w scenach intymnych, w sumie jednak — zbyt jednostajna, bo oparła rolę wyłącznie na akcentach melancholii i znużenia. Juliusz Łuszczewski z brawurą i świadomą szarą aktorską grał Robinsona, stylem wykonawstwa odbił jednak od reszły zespołu. Rola Karandyszewa jest dalszym etapem na drodze artystycznej ciekawie się rozwijającego Tadeusza Bartosika.

Reżyseria wypunktowała momenty krytyki społecznej zawarte w dialogu, ale w całości wydobyla raczej nastroj melodymatyczny (drobne ale skuteczne skręcenia „wybielające” Larisę, potraktowanie Paratowa jako zdawkowego urodziciela, egzotyczny Cygan, b. dobrze grany, zregulowany przez Gensę itp) — kontrastowany z przerysowaną komediowością (wejście Karandyszewa z bukietem w II akcie, farsowe akcenty w grze Ogudałowej i Robinsona). Właściwie wydobyt był nastrój leniwego spokoju niewielkiego miasteczka, niepotrzebnie jednak łączyło się to z bardzo statycznym ustawieniem ról. Scena piosenki w III akcie poniżej poziomu przedstawienia.

Dekoracje Zofii Węgierkowej nieco bombonierkowe, komponowane przede wszystkim w trosce o zewnętrzny efekt (drzewa I-go i IV-go aktu, liliiowo-fioletowa gama kolorystyczna aktu II-go). A przecież należy pamiętać o zdaniu Ostrowskiego, zawartym w jego pismach, o teatrze: „Dekoracja jest konieczna nie tyle dla wystawności spektaklu, ile dla prawdopodobieństwa wyobrażonego na scenie życia”.

Stanisław Marczak-Oborski

WAWRZYNIEC ŻUŁAWSKI

JERZY FICOWSKI

„Złota Kaczka” Maklakiewicz w Operze Śląskiej

Po sukcesie baletu „Fontanna Bachczyseraju” Państwowa Opera Śląska w Bytomiu w rekordowo krótkim okresie czasu, w ciągu dwóch miesięcy, zdołała przygotować nową premierę baletową: „Złotą Kaczkę” Jana Maklakiewicza.

Każde nowe polskie dzieło muzyczne, a już zwłaszcza dzieło tak okazałych rozmiarów jak pełnospektaklowy balet, jest godnym uwagi wydarzeniem kulturalnym. Jest nim bez wątpienia również „Złota Kaczka”, utwor powstały w wyniku harmonijnej współpracy znanego polskiego kompozytora i wybitnego czechosłowackiego znawcy baletowego, Jana Rejmy (Reimosa), który jest autorem libretta. Tworcom chodziło o stworzenie popularnego, ludowego widowiska baletowego, które by wyrażało z polskich tradycji narodowych, a przyciągało masowego odbiorcę barwną różnorodnością akcji i dostępnością muzyki. Za podstawę posłużyła piękna, starowarszawska legenda o Złotej Kaczce, dobrze znana w poetyckiej wersji Artura Opplmana (Or-Ota).

Zamierzenie słuszne, wybór tematu — w którym bogata fantastyka łączy się z ludowym realizmem i mądrością społeczną — nad wyraz trafny. Jednakże, owo dążenie: librecisty — do barwności, kompozytora — do dostępności posunęło obydwa nieco za daleko. Zrealizowa-

łach nie brak w muzyce „Złotej Kaczki”. Nie trzeba ich zbyt uważnie szukać — narzucają się one same, zwłaszcza w scenach obrazu II-go i III-go.

Oczywiście zdajemy sobie dobrze sprawę, jak trudno jest osiągnąć „złoty środek” i dać muzykę tak dalece komunikatywną, jak muzyka Maklakiewicza, a jednocześnie uniknąć cech ujemnych, o których mowa, zastąpić je twórczą, oryginalną inwencją, prostotą na szczeblu wysokich wartości artystycznych. O taką muzykę nam chodzi i nie rezygnujemy bynajmniej z myśli, że kompozytor tak wytrwały jak Maklakiewicz mógłby jej dostarczyć. Nie powiedzio nam się to w „Złotej Kaczce”, ale z pracy tej wyniósł cenne doświadczenie, które niewątpliwie da mu wiele na przyszłość. Takie zaś fragmenty jak obraz I-szy — może najlepszy z całego baletu — czy pełen wigoru i temperamentu wiejski obraz IV-ty, zawierają wiele cennych elementów, godnych tego, by na nich się oprzeć w dalszych poczynaniach twórczych.

Jak już wspomnieliśmy zespół Opery Śląskiej przygotował premierę w niezwykle krótkim czasie, wykazując tym godny najwyższego uznania zapał, dyscyplinę i entuzjizm pracy. Twórcą inscenizacji, baletmistrzem Jerzy Kapliński (choreografia i reżyseria), miał niemałą



„Złota Kaczka” J. Maklakiewicza w Państwowej Operze Śląskiej w Bytomiu. Inscenizacja i choreografia: Jerzy Kapliński, opracowanie muzyczne: Zygmunt Szczepański, scenografia: Andrzej Stopka. Na zdjęciu obraz I-szy — w Warszawie na Powiślu.

wali je wprowadzić w znacznej mierze, ale kosztem pewnych niedociągłości artystycznych.

Akcja sceniczną libretta została bardzo rozbudowana. Mnóstwo w niej wątków pobocznych, czy też może raczej wstawek zostawiających pole dla czysto baletowych intermedii. W rezultacie gubi się często fabuła zasadnicza, zatracza się podstawowa cecha dobrego libretta baletowego: prostota i jednolitość treści sceniczej. Osiągnięto barwność i różnorodność, ale za cenę niewątpliwych dłużyzn widowiskich.

Jeśli chodzi o muzykę Maklakiewicza — posiada ona z pewnością wiele zalet, wśród których wyróżnia się łatwość i płynność inwencji oraz dobre rzemiosło kompozytorskie, zwłaszcza w zakresie instrumentacji. Jednakże łatwość ta stoi na pograniczu łatwizny, a często ją — niestety — przekracza. Jesteśmy jak najdalej od czynienia autorowi zarzutów za prostoty środków i zrozumiałości muzycznych treści, ale prostota nie może oznaczać wulgaryzacji, a dostępności nie wolno nam szukać poprzez nawiązywanie do mieszczańskiego kabaretu, czy złych tradycji operetkowych. A nie da się zaprzeczyć, że powiązań

trudność, by mnóstwo tańców o jednakowym charakterze (kilka polek, kilka krakowiaków oraz walców) nadać za każdym razem odmienne układy. Z trudności tej i innych wyszedł zwycięsko, tworząc widowisko ruchliwe, barwne i o wysokich walorach tanecznych.

Z solistów wymienić należy w pierwszym rzędzie dobrą technicznie Lucynę Sotomską i pełną lirycznego wyrazu, utalentowaną Olę Sawicką (obie tańczą na zmianę partię Złotej Kaczki). Dobry w tanecznej roli Lutka, czeladnik szewskiego, jest Bolesław Bolewicz oraz Leokadia Zienkówna, jako jego narzeczona. Zos. a. Interesującą pantomimiczną postać Antykwarusa stworzył Andrzej Śnieżyński. Doskonałe prezentuje się w szeregu epizodów (m. in. w wiejskim) Witold Rudzki, tancerz o dobrej technice i dużym temperamencie. Wymienić ponadto należy m. in. Karola Szromę i Marię Mikuszewską (matka Lutka).

Orkiestrę przygotował sumiennie kapelmistrz Zygmunt Szczepański (kierownictwo muzyczne). Doskonałe, bardzo oryginalne kostiumy i dekoracje zaprojektował Andrzej Stopka.

Wawrzyniec Żuławski

„Każdy Cygan swego konia chwali”. — Mówi polskie przysłowie ludowe. Mówi nieprawdę. Nie posiadająca koni cygańska biedota nie ma co chwalić. Ale z daleka, z zewnątrz, wydaje się, że Cyganie stanowią jednolitą grupę, zamkniętą i egzotyczną. Wrożą, kradną, muzykują — solidarni między sobą, nieufni wobec otoczenia, dziwaczni, tacy sami wszyscy. Prymitywna wiedza ludowa, czy raczej niewiedza, wytworzyła taki obraz Cygana.

Wiedząc więcej — mówią o Cyganach różnych: polskich, niemieckich, rosyjskich... Zdają sobie sprawę z różnic między takimi grupami, różnic przejawiających się w odmienności poszczególnych dialektów cygańskich.

W istocie nawet „polskich Cyganów” nie można traktować jednolicie, dzieląc się oni bowiem na cztery wielkie odrębne grupy: nizinni, górscy, Kelderari (kotlarze) i Lowari (koniarze). Każda z tych grup przybyła w innym czasie na terytorium Polski, każda rządzi się odmiennymi obyczajami i posługuje się odrębnym dialektem. Ale przecież nie jest to jedyny podział. W każdej z tych grup widoczny jest słabszy lub silniejszy podział klasowy, różnicowanie społeczne. Wyraźne kontrasty, przy których można dostrzec ścieranie się tych różnic, mogą występować jedynie w granicach jednego ugrupowania cygańskiego, np. wśród polskich Cyganów nizinnych. Separacja poszczególnych ugrupowań nie dopuszcza do wzajemnych kontaktów, które są zjawiskiem rzadko spotykanym. A więc — ten podział klasowy, który, z grubsza biorąc, pokrywa się w niektórych wypadkach z podziałem grupowym (Cyganie górscy — „proletariat” i Cyganie nizinni — „bogacze”), nie prowadzi w braku zetknięć międzygrupowych do objawów klasowego ucisku. Rzadkie wypadki zetknięcia się Cyganów z jednej grupy z przedstawicielami innego ugrupowania doprowadzają prawie zawsze do starć i konfliktów.

Najbiedniejszą grupą są Cyganie podkarpacki. Ich zatrudnienia to przede wszystkim tłuczenie kamieni na drogi, kowalstwo i muzykowanie. Pomimo ogólnej biedy tych Cyganów, dają się wśród nich dostrzec pewne społeczne różnicowanie, oparte na okolicznościach natury ekonomicznej.

Cyganie-kamieniotłuki to przeważnie kowale, którym brak niezbędnych narzędzi uniemożliwia wykonywanie tego zawodu. Są jednak i tacy — bogatsi — którzy posiadają przybory kowalskie i dzięki temu ich stopa życiowa jest wyższa od kamieniotłuków, których dorywcze i — w braku odpowiednich narzędzi i kuźni — prymitywne zajmowanie się kowalstwem nie wytrzymuje konkurencji bogatszych cygańskich kowali.

Styszałem starą piosenkę, śpiewaną przez kamieniotłuków, którzy musieli porzucić swój ulubiony zawód, piosenkę kowalską. W przekładzie na język polski brzmi ona:

Mój ojciec mi zrobił
Cztery kleśce, młotek,
Bym pracował sobie,
Zebym się nie potulił.
Więc w kleścy pięcioro
Trzy druciki biorę:
Co zepsuło, co dziurawe —
Ja wszystko naprawię.

Tłukąc kamienie śpiewali kowalską piosenkę. Jeden z kamieniotłuków zrobił mi w prezencie ładny toporek do ciupagi. Organizatorzy akcji werbunkowej w budownictwie! Poszukujecie uparczywie fachowców: kowali, ślusarzy, blacharzy. Masz tych, tak potrzebnych fachowców marnują się wśród Cyganów z południowych połaci województwa krakowskiego!

Podgórsy muzykanci cygańscy także dzielą się na grupy, zajmujące się wyłącznie muzykowaniem i takie, które muzykantom uprawiają tylko ubocznie, w dzień wolny od pracy, lub wieczorem po odrobieniu dziennego tłuczenia kamieni. Ci pierwsi są zazwyczaj angażowani w restauracjach i innych lokalach; pozostali — to muzykanci domokrejni, o wiele gorzej sytuowani od muzyków „zawodowych”. Z reguły — tak tu, jak i w każdej z pozostałych grup cygańskich — elementem na wyższym szczeblu ekonomicznym, górującym społecznie, uzależniającym od siebie w pewnej mierze Cyganów pozostałych, są ci, którzy mniej zasymilowali się z ludnością miejscową, którzy prowadzą bardziej pasożytniczy tryb życia. Natomiast warstwę upośledzoną stanowią Cyganie, którzy w pewnym stopniu zarzucili pasożytnictwo, którym zmniejszona „cygańska zaradność życiowa” nie daje wystarczających środków materialnych. Albo więc chwytają się pracy fizycznej (zjawisko powszechne na Podkarpaciu), albo też w naturalny sposób uzależniają się od grup czy jednostek bogatszych. Małżeństwa „mieszane” między Cyganami górkimi i nizinnymi zdarzają się niezwykle rzadko. A nawet jeśli dojdzie do zawarcia związku małżeńskiego między Cyganką niziną i Cyganem górskim, to — wbrew obyczajom obowiązującym wewnątrz grupy — małżonka przynależąca do taboru żony, a nie odwrotnie, jak to jest w zwyczaju,

gdy małżonkowie są społecznie „równi”. Śpiewają też podgórskie kamieniotłuki:

Jestem biedny
Biednej matki synek,
Nie lubię mnie
Bogate dziewczyny.
Bo bogaci
Kochają bogatych
A biedacy
Kochają biedaków...



Stara Cyganka nizinna.

Najsilniej, najjaskrawiej przejawia się różnicowanie klasowe wśród grupy kotlarzy — Kelderari, przy czym niemałą rolę odgrywa niespotykane w tej formie wśród pozostałych grup posiadanie przez tych Cyganów własnego zwierzątka — króla, oraz podległych mu wójtów i sołtysów, będących z ramienia „króla” zwierzchnikami poszczególnych drobniejszych ugrupowań i taborów.

Dynastia Kwieków, o której pisanie po pierwszej wojnie światowej wiele pisało się w prasie codziennej, to właśnie panujący przedstawiciele kotlarskiej „arystokracji”. Spory dynastyczne, które nie obyły się bez zamachów skrytobójczych i jeszcze w 1946 r. doprowadziły do fałszywego oskarżenia „króla” Rudolfa Kwieka o współpracę z gestapo, są dowodem, jak bardzo intratnym stanowiskiem jest „tron cygański”. Cygańscy kotlarze poddają się rozkazom i woli swego króla głównie ze względu na to, że zdobywał on zawsze potwierdzenie i poparcie przedwojennych władz, które w rezultacie umożliwiały mu szantażowanie podwładnych groźbami denuncjacji wobec władz policyjnych. Nieraz Kwiekowie dopuszczali się okradania swych poddanych z koni, złota itp. — mając zawsze na podrodzie niezawodny argument — groźbę donosu, co wobec nieczystości cygańskich sumień i złej opinii ciężającej na Cyganach było chwytem tyleż cynicznym, co skutecznym.

Kotlarze znają jeszcze wiele innych metod skutecznego szantażu i gnębienia cygańskich podwładnych. Zawsze władza takich zwierzchników, dopuszczająca do licznych nadużyć i bezprawnego bogacenia się kosztem podwładnych, opierała się na poparciu przedwojennych władz polskich. Tak np. 31 lipca 1928 r. „Król polskich Cyganów, Dymitr Koszorkiewicz, ...po raz wtóry złożył wizytę naczelnikowi Lisowskiemu w komisariacie rządu, prosząc o udzielenie pozwolenia na zakupno 5 belgijskich brauningów dla siebie i swej żony. Prośba króla została natychmiast uwzględniona i pozwolenie wręczono. Równocześnie król uzyskał aprobatę złożenia



Młody kamieniotłuk cygański przygrywa po pracy rodzicom.

hołdu Prezydentowi Rzplitej, przy czym zamierza w czasie składania hołdu ofiarować Prezydentowi starożytny pierścień, pamiątkę rodziną. Pierścień ten kowany ze szczerzego złota waży przeszło 120 gramów.

Nie był to wypadek odosobniony, ale reguła, pokutująca do ostatnich czasów. Sprawcą była zła wola władz albo ich nieświadomość. Dyktatorska władza „królów” nie ograniczała się do kotlarzy, lecz — dzięki poparciu polskich władz — pretendowała również do zwierzchnictwa nad innymi ugrupowaniami Cyganów, co zawsze było przez nich przyjmowane z nietajoną wrogością. „Zawsze mówimy mu, żeby szedł precz od nas, bo nie mamy dla królików kapusty!” — mówił mi Cygan nizinny. — „To teraz już on boi się podejść tam, gdzie stoimy. Niech by się, spróbował pokazać!”

Uzbrojeni w uprawnienia, dane im przez władze, Kwiekowie bynajmniej nie musieli liczyć się z tym, czy Cyganie uznają ich zwierzchność, czy też nie. Na wyrażoną przez mnie wątpliwość, czy Cyganie go uznają i uważają za króla, jeden z Kwieków odpowiedział: „A któż by się tej hołoty pytał!”

Łatwo sobie wyobrazić, jaką opinią cieszą się Kelderari wśród pozostałych grup Cyganów polskich, a zwłaszcza wśród Cyganów nizinnych, którzy z kotlarzami najczęściej stykali się i stykają. Wina poszczególnych kotlarskich „arystokratów” obciąża oczywiście cygańska opinia publiczna wszystkich kotlarzy.

Na straży przestrzegania przepisów, obowiązujących w społeczności cygańskiej, stoją warstwy uprzywilejowane, bogatsze — rajkanytki roma — „pańscy Cyganie” — szlachta, pogardzająca cygańskim pospółstwem. Trwałość i długowieczność cygańskiego wędrownictwa i pasażerostwa jest w dużym stopniu zasługą owych pańskich Cyganów, rozporządzających wielkim zasobem uświęconych tradycji rytualnych kar dla „nieprawomyślnych” Cyganów. Baro czor — wielki złodziej, to jeden z najsłynniejszych epitetów cygańskich. Kradzież stała się zawodem mistrzowskim i na większą skalę uprawianym, zwłaszcza przez jednostki bogatsze, „lepsze”. Osobliwa jest modlitwa, śpiewana przez Cyganów, będąca chyba jedną z najsobliwszych modlitw:

Daj nam czarną nockę, Boże,
Zebym kraść, Cyganie, poszedł,
Zebym poszedł dziś na kradzież
I dwa siwki przyprowadził!
Na targ zaraz poszedłbym już
I czapkę pieniążków przyniosł!



Stary Cygan z klanu „Kelderari” — kotlarz w odświętnym stroju ze srebrnymi guzami.

Pieśń cygańska jest surowo realistyczna. Rzadko pozwala sobie na dalszą poetycką przenośnię. Ale nawet uwikłana w metafory nie przestaje mocno trzymać się ziemi i realnych doświadczeń życiowych Cygana. Oto dostatek i zbytek bogactwa:

Przyjechałem sobie w swaty
Nie dwójką, nie trójką koni!
Przyjechałem sobie w swaty,
A koników czwórka gon!

Przyjechałem sobie w swaty,
Podkowy w drodze zostały:
Przednie podkówek złote,
A tylnie — ze srebra cale.

Nie martw się dziewczyno młoda!
Ja dużo podkówek robię
I ze srebra i ze złota
I obypię ciębie złotem!

Jakże inny, smutny ton brzmi w poezji Cyganów biedniejszych. Oczywiście i oni znają radość i wesołe śpiewki. Ale złotych podków, ani jazdy w cztery konie nie znają:

Dzieci, dzieci ukochane
Do Boga się modlą za nas,
Aby nas wybrał wreszcie
Z naszej biedy i nieszczęścia.

Kamień za kamieniem w drodze.
Ja tamtędy, placząc, chodzę.
Z moich dużych, czarnych oczu
Łza za łezką wciąż się toczy.

Mungacz, mój ty Mungacz,
Tak pracujesz ciężko!
A twe dzieci proszą
O chleba kromeczkę.

Nie mamy pieniążków...
Samoloty krążą,
Jak pieniążki dadzą —
Pojedziemy razem...

Pierwszym stereotypowym pytaniem, zadawanym przez Cyganów przy witaniu się, jest: „Sawo romendyś san?” (tzn. „Z jakich Cyganów jesteś?”). Odpowiedzi na to pytanie brzmią bardzo rozmaicie, gdyż ilość różnych grup cygańskich, zawartych w nadrzędnej społeczności Cyganów nizinnych, jest bardzo duża. Oprócz grup uwarunkowanych terenowo, jak np. „Łomżyński”, czy

„Bareforytka roma” (wielkomiejscy czyli warszawscy Cyganie) istnieje jeszcze cały szereg ugrupowań, których nazwy nie dają klucza do rozwiązania zagadki ich pochodzenia i nie ma żadnych danych, umożliwiających odkrycie ich genezy historycznej. Niewątpliwie jednak grupki te są wynikiem podziału społecznego w związku z niejednoczesnym przybywaniem na ziemię polską oraz w związku z późniejszym, już polskim, układem międzycygańskich stosunków. Poszczególne grupy zawierają w sobie różny „Cyganizm”, „lepszy” i „gorszy” według cygańskiej oceny.

Ważnym czynnikiem wiążącym się z tym podziałem jest przestrzeganie solidarności grupowej w granicach społeczności polskich Cyganów nizinnych i podporządkowanie się obowiązującym prawom obyczajowym i zwierzchnictwu Wielkiej Głowy (Baro Szer), który odgrywa rolę obrońcy interesów ugrupowań i jednostek „lepszych”, bogatszych, uzależniających od siebie w najmniejszym stopniu Cyganów, stojących niżej w hierarchii społecznej. Zakaz cygańskiego tabu i rytualne przysięgi odgrywają niejednokrotnie rolę narzędzi, służących do wzmocnienia władzy cygańskiej „arystokracji”. Nie jest przypadkiem, że władza naczelnego sędziego-kapłana — Wielkiej Głowy — choć jest obieralna, pozostaje od wielu pokoleń w rękach „pańskich” Cyganów wielkomiejskich. „Pieniądz u nas pokrywa wszystko” — zali się w rozmowie ze mną pewien Cygan. Uboś, zadłużeni u innych, Cyganie oddają za siebie, a nie chcą być oddawani i muszą wskutek niewypłacalności iść na kilkuletnią pańszczyznę do Wielkiej Głowy lub wierzyciela.

Trzeba jednak podkreślić, że wszelkie spory, antagonizmy, czy konflikty powstałe na gruncie ukosnego społecznego rozstrzygnięcia są tutaj w granicach cygańskiej społeczności, bez uciekania się do niecygańskich władz. Oprócz innych przyczyn, solidarności Cyganów spowodowana jest ich nieufnością do wszelkich „niecyganów” — gadzie (analog. — goje, gajury). Podstawą do tej nieufności jest bardzo wiele. Straszliwa martyrologia Cyganów w czasie ostatniej wojny cechę tę wzmocniła jeszcze i pogłębiła. I dziś, kiedy władze Polski Ludowej przystąpiły do produktywizacji Cyganów, nieufność ich i nawyki pasażerostwa — to najważniejsze przeszkody stojące na nowej drodze życia naszych Cyganów. Jednak świadomość cygańskiej głowy — widzą konieczność i potrzebę zmiany trybu życia. Dni władzy „lepszych” Cyganów są już policzone.

Przyszłość zdejmie z nas ciemność
I nieczystość serc obmyje.
Zyc będziemy pięknie potem,
Tak, jak każdy człowiek żyje.
Lecz placzą Cyganie starzy
I o dawnych czasach marzą,
O lasach, o rzekach czystych,
Górach wielkich i ogniskach
Bo ich serca się nie zmienia
A podobne są kamieniom.
Pośród lasów wyrastały



Córka Cygana z Zakopanego.

I wśród lasów skamieniał,
To panowie w dawnych czasach
Uczyli nas kiedys tego
I daleko i daleko
Cygana, jak nieczłowieka
Wygнали do wielkich lasów,
Ze cygańskie serca wreszcie
Stały się już kamieniami,
Ze ludzie na całym świecie
Zuq nas wszystkich złodziejami
I nie ludźmi, ale psami!

Pytałem kiedyś znajomych Cyganów, dlaczego nie namawiają swych współplemieńców do zmiany trybu życia, do osiedlenia się. Odpowiedziano mi: „Myślisz, że tylko my chcemy się osiedlić? Że nie ma takich Cyganów więcej? Ale namawiać nie możemy i nie możemy pukać do ministerstw. Boimy się. Inne Cygany też się boją. Zaraz byśmy wielcy Cyganie nazwali nas psami i musielibyśmy odejść od swoich, nikt by nam nawet ręki nie podał, żeby samemu psem się nie zostawił. Nie możemy. Ty przecież rozumiesz cygańskie życie i wiesz, że tak jest...”

Niewątpliwie rajkanytka roma — „pańscy Cyganie” najostrożniej walczą

ADAM MICKIEWICZ

„PAN TADEUSZ” PODOBIZNA RĘKOPISÓW

Wydanie luksusowe w oprawie.

Papier kredowy — format 35.5 x 25

stron 332

cena zł. 250

Do nabycia w księgarniach „DOMU KSIĄŻKI”



Nakładem Sp. Wyd. „KSIĄŻKA I WIEDZA”

ukazały się

następujące najnowsze utwory polskich pisarzy współczesnych:

DROZDZ-SATANOWSKA Z. — Topiela. T. I/III. Str. 332, 312, 362	zł. 15.—, 13.—, 15.—
HAMERA B. — Doznania ludzkie. Str. 204	zł. 6.—
KOWALEWSKI S. — Walka klas. Str. 126	zł. 3.90
MEISSNER J. — S/T „SAMSON” wychodzi w morze. Str. 211	zł. 7.85
PIETKIEWICZ J. — Zbrodnia Piotra Dudy. Str. 163	zł. 6.—
RYMKIEWICZ W. — Ziemia wyzwolona. Str. 128	zł. 4.70
WUDZKI L. — Jutro będzie lepiej. Str. 233	zł. 11.50

przeciwko produktywizacji, która ich właśnie uderzyłyby najmocniej, przez co walka klasowa przybiera niekiedy szczególnie ostre formy. W 1950 r. słyszałem śpiewaną przez polską Cyganke pieśń „Pantilejo tom baro” (Pantilejo wielki Cygan). Pieśń ta powstała w Związku Radzieckim i opiewa postać Wielkiego Cygana Pantelejmona, który nie uległ nakazom władz i pomimo wielkich trudności nadal ze swym taborem wędruje, „a kto mu wejdzie w drogę, tego kroplinie z nagana”.

Rom Baro zapytuje Cyganów w pieśni: „Cyganie, czy nie czas, Cyganie, czy nie pora wszystkie nasze pieśni powstrzymać?”

Pantilejo umilkł, powstrzymał swoje pieśni. Ale nowa pieśń nowego narodu rozwija się — pieśń Cyganów ZSRR. Pojawili się wykształceni, uświadomieni twórcy — poeci cygańscy, którzy swe poezje wydają w tomach drukowanych w ich własnym języku.

Gdy przed niewiele laty pewna Cyganka chciała sama uczyć się, czytać i pisać, starzy Cyganie darli jej książki, pluli i bili ją. „Bedziesz pani nauczycielką!” — drwili. Młode pokolenie cygańskie będzie się uczyć w szkołach. Niejedna cygańska dziewczyna zostanie panią nauczycielką.

Kotlarscy wójtowie i sottysi nie omijają żadnej okazji, aby zmocnić swą władzę, a okazją jest dla nich nawet... akcja produktywizacyjna i osiedleńcza. Ostatnio byli wypadki zwracania się takich przywódców do władz polskich z prośbą o wydanie im papierów uprawniających do nakłaniania Cyganów, aby się osiedlili. Ale czasy wyżysku skłoniły się bezpowrotnie i chytre podania królików cygańskich nie będą załatwiane pozytywnie. Niejedna rodzina biedoków cygańskich pracuje już w PGR-ach, w fabrykach, przy budowach. W świetlanych, w jasnych izbach mieszkalnych brzmi po pracy wesoła i zabawna piosenka o Cygance Róży, której zamiast księdza zając na wiele dzwoni:

Róża ma czarne oczy,
Świecą jej się niby złoto!
Chłopcy ją chwytają
I już ją porwali.
I tylko im zając
Dzwoni kluczykami.

Jerzy Ficowski

JERZY HUTKA

NEWYKORZYSTANE MOŻLIWOŚCI

Jednym z bardziej zaniedbanych odcinków naszej akcji kulturalnej jest obsługa czasów pracowniczych. Szkoda bardzo wielka, bo jest to odcinek szczególnie ważny ze względu na niespotykane w innych okolicznościach warunki tej akcji. Skupiska czasowiczów są to skupiska ludzi wolnych od trosk codziennych, przeniesionych z ich zwykłego środowiska, w którym normalnie żyją i pracują, w otoczenie geograficzne i ludzkie zupełnie nowe. Powstają w ten sposób warunki, których dobrze prowadzona akcja upowszechnienia kultury w żaden sposób pominąć nie powinna.

Przeniesienie się do nowego otoczenia, często oglądane go raz pierwszy, zetknięcie się z pracownikami z innych części Polski, z pracownikami o odmiennych zainteresowaniach zawodowych i kulturalnych, działa na świadomość przeciętnego czasowicza rewolucjonizująco. Współczasowicze wciągają go w krąg nowych zainteresowań. Pod wpływem nowych bodźców zachowuje się czasowicz zupełnie inaczej niż w życiu codziennym. Najczęściej zauważa to sam ze zdumieniem. Odrzucając troski codzienne poświęca na nowemu krajoobrazowi, nowym ludziom i sprawom taką sumę uwagi, na jaką nie zdobyłby się nigdy w swoim własnym środowisku. Można śmiało zaryzykować twierdzenie, iż aktywność przeciętnego czasowicza w sprawach niezwiązanych bezpośrednio z potrzebami bytowymi wzrasta co najmniej kilkakrotnie.

Rejonalnie zorganizowane ośrodki czasowicze powinny być przygotowane na zaspokojenie tych zwiększonych potrzeb i zainteresowań świata pracy przybyszającego na czasowicze. Chodzi tu nie tylko o rozrywki w postaci występów artystycznych i przedstawień. Chodzi o zagadnienie znacznie szersze.

Wczasowicz chętnie poznaje nowe miejsce czasowego pobytu. Ponieważ ma dużo czasu, poznaje je gruntownie, często z pasją godną lepszej sprawy. Chętnie odwiedza grupowo miejscowe zabytki i miejsca godnie widzenia, pilnie słucha objaśnień przewodników i osób wtajemniczonych już w miejscowe cie-

kawostki. Sam także bardzo chętnie udziela swych wiadomości nowoprzybyłym. Wzajemne informowanie się i przekazywanie zdobytych wiadomości nowoprzybyłym stanowi najważniejszą formę szerzenia wiedzy o nowym środowisku. Ten moment należałoby odpowiednio wykorzystać. Trzeba więc dbać o to, by wiadomości podawane czasowicom były rzetelne, oparte na rzeczywistej znajomości przedmiotu, by przyczyniały się do rozszerzenia posiadanych przez czasowiczów wiadomości ogólnych. Należałoby dbać o to, by przewodnicy umieli w swoich objaśnieniach nawiązywać do aktualnych zagadnień, by opowiedziane wydarzenia objaśniali zgodnie z zasadami materializmu historycznego.

Tymczasem jakże często dzieje się tak, że wiadomości podawane przez tak zwanych przewodników są zgola nieprawdziwe, albo stanowią zbieranię bałamuctwa i naiwności.

Zeby nie być gołosłownym podam szereg faktów zebranych w ubiegłych latach w ośrodkach czasowiczych w okręgu jeleniogórskim.

W Karpaczu znajduje się miejscowe muzeum etnograficzne, pozostawione przez Niemców w stanie prawie nienaruszonym. Jest to chata zbudowana w stylu charakterystycznym dla tamtejszych okolic. Urządzenie — mówiąc językiem warszawskim — niewątpliwie „przejawiające”, obliczone na ośnienie cudzoziemców, zawiera m. in. urządzenie pracowni dawnych „aptekarzy” z Karpacza, czy — jeśli kto woli — fabrykantów przeróżnych balsamów i niezawodnych mikstur na ludzkie dolegliwości, a także chaotyczny zbiór innych przedmiotów mniej lub bardziej cennych. Z objaśnień przewodnika pamiętam, że filiżanki stanowiące charakterystyczny produkt masowej fabrycznej okleślał jako ceramikę ludową, a stanowiący przedłożem małżeńskim z masywnym baldachimem twierdził, że gości swoich, którzy pozostawali na noc, gościnni gospodarze zwyczajnie miejscowym lokowali na noc nad własnym łóżem na owym baldachimie. Przewodnik mówił to z takim namaszczeniem, a na dziewczynkę, która wybuchnęła śmiechem, spojrzawszy tak surowo, że zwiędzający

wyszli z tego pokoju zmieszani i zapewne myśli, że chociaż to i śmieszne, to może przewodnik jednak ma rację. Na pracownię „aptekarską” wskazał przewodnik jako na ciekawostkę, którą warto też obejrzeć, skoro się już przyszoło.

Szklarska Poręba miała więcej szczęścia do zabytków. Osiedlali się tu na stare lata artyści i uczeni, lepsi i gorsi. Przywozili swoje zbiory. Najobszerniejsze zbiory pozostawił malarz Hendrich. Staruszek zmarł w tragicznych okolicznościach. Był głuchy i został przejechany przez pociąg w pobliżu swojej willi. Namalował szereg obrazów przedstawiających znaną z podania historię córki księcia, która została porwana przez ducha gór „Liczyrzepe”. Niemcy wybudowali obok willi bombastyczną halę wystawową, w której pokazywali owe obrazy. Myśły to przejeździ. Zarząd letniska znalazł bardzo wymownego przewodnika, który z patosem opowiadał zwiędzającym rzewną historię o córce księcia porwanej przez „Liczyrzepe”, a przedstawionej na owych obrazach. Fantastycznie przekreślał przy tym znany tekst podania. Potem przechodził do willi, zamienionej również na muzeum, przypominając tragiczną historię śmierci malarza, pokazywał pokoje i nieodmiennie zwracał uwagę na ulubionego pieska żony malarza, któremu zdechło się jeszcze za życia pani. Pani nie chcąc się rozstać z ulubieńcem nawet po śmierci, kała go wypchać i oto siedział teraz na kanapie i patrzył na zwiędzających szklanymi oczami jak żywy, chociaż mu mole sierść na jednym udzie już wyjadły. O wartościowszych eksponatach przewodnik niewiele umiał powiedzieć.

Weszliśmy roku przeniesiono muzeum do willi obok boiska w Górnej Szklarskiej Porębie. Halę z obrazami zamknięto. W nowej siedzibie zgromadzono więcej zbiorów. Pomieszczono tam portret jakiegoś entomologa z Berlina. Pomieszczono jego motyle i inne zbiory przyrodnicze. Zwieziono nieco mebli, obrazów i rzeźb, bardzo kiczowatej maści. Zawędrował tu także wypchany piesek. Wprawdzie nie wystawiono go razem z motylami, ale o porządnej wystawie trudno było mówić. W jednym z pokoiów np. wystawiono na półce dwie figurki greckie — zdaje się autentyczne „lanagry” — obok postawiono dwa kute żelazne lichtarze „made in Germany 1941”, nad tym połączono kilka odlewów małych morder z gipsu, jeszcze wyżej zawieszono olejny portret maipy. Naprzeciwko ustawiono kiczowatą rzeźbę, przedstawiającą akt dziewczyny siedzącej na skale, ze stojącym obok aktem zamyślnego młodzieńca. W kącie na fotelu posadzono... ale cyt, jeszcze ktoś pomyśli, że uwzględniłem się na biednego pieska, który już pięćdziesiąt lat nie szuka. Przewodnik w nowej siedzibie był stosunkowo małomówny.

Najnowszą innowację wprowadzono kilka miesięcy temu, mianowicie zamknięto muzeum dla zwiędzających. Na jak długo — nie wiadomo. Sądząc jednak z żywotności muzeum w Jeleniej Górze, w którym nawet własne ogłoszenie o przejściowym zamknięciu stanie się zabytkiem, a to z tej racji, że zbyt długo wisi — należy przyjąć, że odtąd muzeum dla zwiędzających nie nastąpi nieprędko. Tymczasem wystawiono — jedną z rzeźb w parku drojowym.

To, co tu opowiedziano żartobliwym stylem, jest naprawdę bardzo poważne. Tylko ten, kto słyszał, jak sobie czasowicze przekazują zdobyte wiadomości, jak namawiają jedni drugich do zwiedzania, pojmie niebezpieczeństwo tkwiące w pokazywaniu czasowiczom, którzy mogą nigdy jeszcze nie widzieli muzeum prawdziwego, graciarni zamiast muzeum.

A przecież nie tak trudno byłoby zmienić ten stan rzeczy. W Karpaczu, o ile zdecydujemy się pokazywać muzeum w obecnym stanie, wystarczy zmienić przewodnika albo go nauczyć, jak ma oprowadzać i co mówić. Należałoby zwrócić uwagę zwiędzających na cech „aptekarzy” z Karpacza, opowiadać im historię tego cechu, bo to właściwie

historia tej zapadłej górskiej wioski, zanim na przełomie ubiegłego wieku została znanym letniskiem. Należałoby zwiędzającym opowiadać o ciekawych zwyczajach tego cechu, o prawach członków, o sposobie doświadczenia do członkostwa, o walce członków cechu z pauperyzacją przez ograniczenie liczby członków cechu, o walce z niebezpieczeństwem od zewnątrz i o zagładzie zżółtowanej „aptekarzom” z Karpacza przez zmyślniejszych dyplomowanych kolegów po fachu. Dobry przykład walki klasowej.

W Szklarskiej Porębie z obecnymi zbiorów nawet najlepsza metoda wystawowa nie stworzy sensownego muzeum. Ale też wcale nie chodzi o to, żeby zwiędzających karcić najgorszymi kiczami albo zmuszać ich do oglądania okazów przyrody zebranych tu bez żadnegoładu i składu. Okazy te trafiły do Szklarskiej Poręby tak samo przypadkowo, jak aligator wiszący na ścianie muzeum w Jeleniej Górze, albo maski totemiczne w muzeum w Cieplach. W innych warunkach i innym zestawieniu mogłyby oddawać znakomite usługi.

Dlatego nie miałoby muzeum w Szklarskiej Porębie związać z samą Szklarską Porębą, z jej przeszłością, z jej teraźniejszością. Można by przecież urządzić tu muzeum turystyczne, pokazać piękno przyrody tego regionu, okazy tej przyrody. Można by zapoznać czasowiczów z wynikami naszej akcji wczasowej i — co ważniejsze — z naszymi dążeniami i zamierzeniami w tej dziedzinie na przyszłość. Można by pokazać w planach wizję przyszłej socjalistycznej Szklarskiej Poręby.

W Szklarskiej Porębie istnieje znana tu huta szkła kryształowego „Józefina”. Nie zdarzyło mi się jeszcze spotkać czasowicza, który nie pragnąłby jej zwiedzić. Można sobie jednak wyobrazić, jak wyglądałaby produkcja tej huty, gdyby wpuszczono wycieczki ze Szklarskiej Poręby i okolicy. A jednak można i trzeba hucie pokazać. Można zebrać dawne widoki, rysunki urządzeń, pokazać przebieg procesów technologicznych, półfabrykaty i gotowe wyroby, dawne i nowe. Można pokazać osiągnięcia naszych plastyków, którzy nadali wyrobom ze szkła kryształowego odmienne formy.

Osobny dział wystawy mogłyby stanowić widowne wystawy sztuki, wystawy naszych osiągnięć, wykonawstwa planu sześcioletniego i inne.

Wczasowicz przyjdzie tu z wdziercnością. Przeciętny czasowicz wykazuje bowiem wielokrotnie spótywaną gotowość i zdolność odbiorczą w zakresie spraw, dla których w życiu codziennym ma za mało czasu: kulturalnych, politycznych, naukowych. Sami czasowicze buntują się najgłośniej przeciwko „przeżalającej nudzie” niektórych ośrodków czasowiczych, w których „nic się nie dzieje”. Trzeba stanowczo przełamać pokutującą jeszcze tu i ówdzie mniemanie, że skoro na wczasie jedzie się dla wypoczynku, to należy czasowicza pozostawić w spokoju.

Wczasowicz zaorany w życiu codziennym mnóstwem spraw „pilnych” i „ważnych” chciałby na wczasach uzupełnić to, co zaniedbuje w życiu codziennym. W zależności od tego jedni wolą ruch, inni znowu interesują się tym, co się naokoło nich dzieje. Pomiędzy dwoma krańcowymi typami, to jest typem czasowicza, który stale gdzieś chodzi i jego przeciwnym, to jest typem czasowicza, który najlepiej czuje się w pobliżu swego łóżka, istnieje najliczniejsza grupa czasowiczów, którzy interesują się wszystkim po trosze. Biorą udział w wycieczkach, odwiedzają miejscowe zabytki i muzea, chodzą na przedstawienia, uprawiają sport, udzielają się towarzysko, chodzą na koncerty i posilby na ciekawych odczytach. Dla tych nigdy nie będzie za dużo okazji do pożytecznego i przyjemnego spędzenia czasu. Chodzi jednak o to, w jakiej formie się te okazje podaje.

Jerzy Hutka

Z TYGODNIA

Wśród polskich delegatów na III Światowy Zlot Młodych Bojowników o Pokój w Berlinie znajduje się grupa pisarzy: Andrzej Braun, Bohdan Czeszko, Ewa Fiszer, Henryk Gaworski, Tadeusz Konwicki, Tadeusz Kubiak, Zygmunt Lichniak, Jerzy Litwiński, Andrzej Mandalian, Andrzej Micewski, Aleksander Scibor-Rylski, Wiktor Wołoszyski i Witold Zalewski.

Wielkie sukcesy odnosi w Niemieckiej Republice Demokratycznej Państwowy Zespół Ludowy Pieśni i Tańca „Mazowsze”, który już występował w Berlinie, Dessau i Schwarzenbergu, gdzie na występie było 40 tys. widzów.

Politechnice Warszawskiej udostępniono publiczności zwiedzanie wystaw zorganizowanych w związku z I-ym Kongresem Nauki Polskiej: „Nauka polska w służbie pokoju i postępu”, „Wydawnictwa Naukowe 1945 — 51”, „Postępowa myśl ekonomiczna w Polsce” i „Z postępowych tradycji nauki polskiej Oświecenia”.

Łazienkach, pod arkadami teatru na wyspie, została zorganizowana wystawa p.n. „Chopin wyrazem wielkości naszej kultury i żywym łącznikiem narodów miłujących pokój”. W dniu otwarcia wystawy w teatrze na wyspie odbył się bezpłatny koncert chopinowski z udziałem Barbary Hesse-Bukowskiej oraz orkiestry Warszawskiego Towarzystwa Muzycznego.

Wrocławiu, w kuluarach Halli Ludowej, otwarta została wystawa p.n. „Ślask w sztuce”, która ukazuje w kilkudziesięciu pracach plastyków dolnośląskich piękno i obudowę Ziemi Zachodnich. Tematyka większości wystawionych obrazów zaczerpnięta została z życia ludzi pracy, z ich walki o realizację Planu 6-letniego. Wśród licznych pejzaży na uwagę zasługują prace A. Modalinskiego i D. Czajki, ukazujące piękno zabytków Wrocławia. Pejzaż górski reprezentują obrazy nestora plastyków dolnośląskich W. Hofmana. Ponadto wystawiają swoje prace F. Drabik, F. Polityński, K. Holler, M. Dawski i inni.

W sali Woj. Domu Kultury w Olsztynie otwarta została wystawa, poświęcona życiu i twórczości Aleksandra Puszkina, która cieszy się dużą frekwencją zwiedzających.

W salach Państw. Muzeum w Radomiu jest czynna wystawa objazdowa pt. „Sztuka i rekordzioludowe”, która zawiera eksponaty z różnych regionów Polski. Reprezentowane są tu: ceramika, hafty, stroje i tkaniny, pisanki, wycinanki itp.

Na objazd kraju wyruszył nowy „Zespół Pieśni i Tańca” ARTOSU liczący 40 osób. Zespół tańca ludowego prowadzony jest przez Stanisławę Stanisławską, liczy 14 dziewcząt i reprezentuje wyłącznie tańce ludowe, oparty zarówno na „współczesnym folklorze jak i bogatych tradycjach narodowych. W skład zespołu wchodzi 14-osobowa orkiestra estradowa oraz mieszany oktet wokalny. Program występów „Zespołu Pieśni i Tańca” ARTOSU obejmują m. in. utwory Brahmsa, Schuberta, Chaczaturiana, polskie pieśni i tańce ludowe.

Wielką frekwencją cieszą się obecnie w Szczecinie wystawy: jedna poświęcona Juliuszowi Słowackiemu, druga — kulturze antycznej i trzecia — dziełom plastyków-marynistów. Wystawy zwiędziły dotychczas ponad 15 tysięcy osób. M. in. bawiący na Wybrzeżu czasowicze z Czechosłowacji, Węgier i innych krajów demokracji ludowych.

Na Śląsku istnieje ponad 50 świetlic hutniczych, przy których czynne są zespoły amatorskie. Zespoły taneczne, teatralne i śpiewacze urządziły w ciągu drugiego kwartału b. r. ponad 500 imprez w kopalniach i hutach oraz w ośrodkach robotniczych. Zryw działalność przejawiają również zespoły orkiestralne, które w ciągu ostatnich dwóch miesięcy dały ponad 180 koncertów dla załóg robotniczych.



Z PRASY RADZIECKIEJ

NOWY GATUNEK LITERACKI

W warunkach socjalistycznego ludownictwa powstaje nowy gatunek literacki, znajdujący się na pograniczu między prozą artystyczną a pamiętnikami. Jest to właściwie rodzaj pamiętników, ale powstających przy współudziale dziennikarstwa, lub co bywa częściej, pisarza zawodowego. Rola pisarza polega na wyrażaniu w opowiadaniach, rozprawach i innych formach literackich, w tym wypadku, jak zresztą i w innych, obowiązuje jedynie notowanie autentycznych faktów, podawanie ich bez opowiadającego. W tym wypadku, jak zresztą i w innych, obowiązuje jedynie notowanie autentycznych faktów, podawanie ich bez opowiadającego. W tym wypadku, jak zresztą i w innych, obowiązuje jedynie notowanie autentycznych faktów, podawanie ich bez opowiadającego.

go rodzaju literatury. Wielu ludzi w tym okresie chciało powiedzieć z wielkiej trybuny o swoim życiu i przeżyciach, o rzeczach przemysłowych i odczuwanych, a taką trybuną jest właśnie książka. W tym wypadku samo życie, bogate doświadczenie wielkiego narodu dobiło się do literatury.

Autor wymienia wiele książek znanych i cenionych, które powstały w tym okresie na drodze współpracy pisarza z bohaterami wojny narodowej, między innymi znane u nas książki: historia armii partyzanckiej pod dowództwem legendarnego Kowpaka „Od Putyły do Karpata”, napisana na podstawie opowiadań Kowpaka i innych partyzantów przez G. Gerasimowa, „Podziemny komitet obwodowy” powstała dzięki współpracy E. Bosnackiego z bohaterem Związku Radzieckiego Fiodorowem, powieść o Zoi i Szurze, napisana przez Wigdorową na podstawie opowiadań matki bohaterki, L. Kosmodemianskiej, zbiorowe pozycje „Szturm Berlina” i „Stalingradczy” opracowane tą metodą i inne. Książki takie powstają codziennie — pisze Smirnow — i są potrzebne zarówno dla popularyzowania doświadczeń, jak i dla literatury. Tą drogą zostaje udostępniony literaturze bogaty materiał życiowy, zostaje utrwalone wielkie doświadczenie naszego pokolenia.

Przeszkodą jednak dla dalszego rozwoju tego gatunku jest nieuregulowanie dotychczas praw autorskich. Chciałbym zapoznać czytelników z jednym z wielu przytoczonych przez autorów przykładów na ten temat. W wypadku wspomnianej książki o Kowpaku, Gerasimow początkowo mówił na niej figurować, jako autor, następnie zrezygnował z tego na rzecz słynnego partyzanta, licząc na to, że książka wywoła w ten sposób większe zainteresowanie ze strony czytelników. Ten piękny, graniczący z samozaparciem czyn autora, pisze Smirnow, miał jednak swoje fatalne następstwa. Gerasimow stał się niewidoczny, nie zauważyli go wcale krytycy omawiający tę książkę, ba, zaczęli nawet o nim zapominać wydawnictwa przy jej wzniesieniu. „Fakt ten — pisze Smirnow — stał się precedensem do wielu błędów, popełnianych w tej dziedzinie. Wydawnictwom podobało się to, że na tytułowej stronie znajduje się nazwisko słynnego człowieka — bohatera wojny, racjonalizatora, nowatora, znanego kołchoźnika. Zaczęły one żądać, by w postaci autora figurował opowiadający, a nie zapisujący i opracowujący książkę literacko pisarz. Ale zamieszczając na okładce nazwisko słynnego człowieka, na podstawie opowiadania którego została napisana książka, wydawnictwo właściwie oszukuje czytelnika. Niewątpliwie, naród lubi swoich bohaterów, ceni ich wielkie zasługi. Za swoją pracę są oni otaczani sza-

cunkiem, otrzymują państwowe nagrody, tytuły honorowe, ale pisanie o nich książek to już sprawa inna. Wydawnictwa nie powinny do rzeczywistej sławy wojskowej lub produkcyjnej dodawać sławy fikcyjnej, literackiej. Praktyka wydawnictwa i trudności stawiane pisarzowi przyczyniły się w znacznej mierze do zniechęcenia pisarzy do pracy na tym ważnym odcinku, z drugiej strony spowodowały u opowiadających w wielu wypadkach niezdrowe, nieoparte talentem ambicje literackie — twierdzi Smirnow.

Proponuje on uregulowanie sprawy w ten sposób, aby za autora książki napisanej na podstawie opowiadania ustnego, był uważany pisarz; w wypadku zaś istnienia rękopisu było stosowane współautorstwo, względnie pisarz powinien jedynie odegrać rolę redaktora (w zależności od stanu literackiego rękopisu).

Podkreślając dalej ważność tego gatunku autor pisze: „Niech powieściopisarze nie patrzą z góry na literatów, trudniących się tym gatunkiem, niech krytycy nie przemilczą ich nazwisk. O wielu powieściach zapomina się bardzo szybko, a takie książki, jak „Od Putyły do Karpata”, „Podziemny komitet obwodowy” są rokrocznie wznowiane. Książki takie są bardzo potrzebne narodowej literaturze, są potrzebne przyszłym pokoleniom, gdyż stanowią one kronikę wielkich spraw naszych dni.

Sądzę, że projekty wysunięte przez G. Smirnowa powinny zainteresować nasze wydawnictwa. Poziom wielu ukazujących się u nas utworów tego typu pozostawia wiele do życzenia, mimo że ich opracowanie literackie przypada często zdolnym skądinąd prozaikom. Stosowanie zasady autorstwa proponowanej przez autora zwiększyłoby zapewne odpowiedzialność pisarza i wpłynęłoby na podniesienie poziomu tego rodzaju publikacji. Wielu pisarzy, przeżywających w obecnej chwili trudności związane z a nieznajomością środowiska, mogłoby z powodzeniem traktować tę pracę zaspokajającą ich literackie ambicje, jako stopień na drodze do opanowania nowej tematyki.

„Literaturna Gazeta” w tym wypadku, jak i w wielu innych, udostępniła swe łamy czytelnikom, wśród których zagadnienie poruszone przez Smirnowa wywołało żywe zainteresowanie. W zamieszczonym komentarzu redakcyjnym do kolumny Głosów Czytelników (Lit. Gazeta nr 82) czytamy między innymi: „Listy te świadczą wymownie o tym, że czytelnicy lubią i ceniają książki pisane tą metodą. Zgadają oni słusznie, by takich książek powstało więcej i by usunięte zostały wszystkie przeszkody na drodze rozwoju tego gatunku”.

Ego

W serii wydawanej przez Sp. Wyd. „KSIĄŻKA I WIEDZA” p. n. „BIBLIOTEKA LITERATURY RADZIECKIEJ” ukazały się dotychczas następujące wydawnictwa:

1. BILL-BIEŁOCERKOWSKI W. — Trzy befsztyki z dodatkami. Str. 96	zł. 2,50
2. PAUSTOWSKI K. — Opowieść północna. Str. 159	zł. 4,00
3. GORKI M., CHAMADAN AL. — W Ameryce. Str. 88	zł. 1,70
4. JEFRIEMOW J., SOBOLEW L. — Opowiadania morskie. Str. 120	zł. 2,70
5. MIENSIKOW I., GORBATOW B. — Na północy. Str. 128	zł. 2,10
6. MIENSIKOW I., SZYSZKOW W. — Niech żyje życie. Str. 112	zł. 2,60
7. MATOW W. — Z tundry i tajgi. Str. 100	zł. 1,80

OGŁOSZENIE

Z dniem 15 kwietnia 1951 r. dotychczasowy system rozprowadzania książek za pośrednictwem tak zwanych „Klubów Literackich” i Subskrypcyj Sp-ni Oświatowo Wydawniczej „Czytelnik” uległ zmianom. Rozdzielono z prenumeratą oraz członkami „Klubów Literackich” przeprowadza Presektorstwo Państwowe „Dom Książki”.

W związku z powyższym prosimy zainteresowane osoby o zaprzestanie dokonywania wpłat na konto PKO „Klubów Literackich” i Subskrypcyj oraz kierowanie wszelkich zapytań i reklamacji w terminie do dnia 1 września 1951 r. bezpośrednio do „Domu Książki” P.P. pod adresem: Warszawa, ul. Zielna 45 — Administracja „Klubów Literackich” w likwidacji.

Spółdzielnia Oświatowo-Wydawnicza „Czytelnik”

SZYMON ZAKRZEWSKI

O PRACY „ARTOSU”

Rola „Artosu” w upowszechnieniu kultury jest szczególnie ważna ze względu na obywatelski charakter organizowanych przez tę instytucję imprez, ze względu na ciężący na niej obowiązek dotarcia do najbardziej odległych miejscowości, do najmniej zorientowanych kulturalnie ugrupowań.

Trzeba stwierdzić, że „Artos” doychczas częściowo tylko zdał egzamin i nie zawsze potrafił wywiązać się ze swych zadań. Złożyło się na to wiele przyczyn: — szczupłość doświadczeń, zleżdziectwo, brak bazy materialnej w postaci wynajętych sal i środków transportowych, szereg trudności „obiektywnych”, wynikających z samego charakteru pracy przedsiębiorstwa, z ruchomej techniki dystrybucyjnej jego produkcji artystycznej i płynących stąd konsekwencji determinujących obniżenie poziomu imprez (oprawa sceniczna, światło, dekoracje, instrument i in.) — i w niemalym stopniu bałast błędów i niedociągnięć kierownictwa. „Artos” w chwili swego, późniejszego zresztą, powstania i w pierwszej fazie działalności uległ żywiołowemu naporowi rosnących potrzeb kulturalnych i nie umiał przezwyciężyć nacisku mieszczańskich gustów, które — na skutek partyzanckiej działalności różnych wędrujących epigonów burżuazyjnej „kultury” — zdolały tu i ówdzie zarazić nawet robotniczą widownię i wypaczyć zdrowy, świeży smak artystyczny nowej publiczności.

T. zw. „zła opinia” o „Artosie”, do niedawna prawie powszechna i jeszcze dzisiaj nie zawsze kontrolowana zakwalifikowanymi sprostowaniami — wymaga dokładnej konfrontacji z rzeczywistością i szczególniej analizy pracy „Artosu” we wszystkich trzech dziedzinach jego działalności: estrady małych form, akcji koncertowo-muzycznej i ruchu obywatelskiego teatrów. Jest to tym konieczniejsze, że „Artos” jest znany, oceniany i krytykowany — w zależności od upodobań i zainteresowań artystycznych opiniodawców lub recenzentów — tylko na podstawie obserwacji pracy instytucji na jednym z tych trzech odcinków.

ESTRADA MAŁYCH FORM

Zadania, jakie stoją przed „Artosem” w związku z jego funkcją „producenta” imprez estradowych, należą do najtrudniejszych.

Nie ma bowiem dziedziny życia kulturalnego bardziej zwalgarzowanej, zabagnionej i żerującej na najniższych instynktach, bardziej zapatrzonej w przeszłość, a przy tym bardziej zaniedbanej i pozostawionej samej sobie, aniżeli tak popularna i masowa u nas estrada t. zw. małych form.

Wynika to i z powolności procesu przesławiania się stałych kadr, pełnych często dobrej woli, lecz wrośniętych w sztafpe, usztynwionych wieloletnią manierą — i z wąskiego dopływu nowych kadr, w związku z brakiem dotychczas odpowiedniego szkolnictwa.

Niemalą trudnością nastrocza również sprawa programu, szczególnie jeśli chodzi o humor i satyrę, a nieraz — znalezienie nowej formy dla nowej treści, co obniża wartość i zdolność oddziaływania spektaklu.

Mimo to można już dostrzec zarówno w repertuarze, jak i w wykonawstwie imprez estradowych „Artosu”, wyraźnie wytyczoną linię rozwojową i stałą, konsekwentną poprawę poziomu artystycznego i ideologicznego repertuaru.

Nie brnie się już teraz w bagienko dawnej rewii, grząskim od różnych zwiedzieli „Herbacianych róż” lub zgnitych „Kwiatów magnolii”, śliskim od płaskich, pornograficznych dowcipów, brudnym od importowanych bladeńskich „gagów” i rodzimych szmoncesów. Jest się już poza zasięgiem jazgotu, chorobliwym egzotykiem drgającej, pseudomurzyńskiej muzyki, kosmopolityzującej i deformującej poczucie piękna i świeżą percepcję nowego słuchacza.

Zdolano prawie zupełnie wydośćać się z zaśmieconej rupieciarzki przedwojennego kabaretu, gdzie w „księżycowe noce” straszny upiór „pantery, co przeżył swój złocisty kark”, czasami dla zmiany czułości przebranej w stylizowany do ohdy strój ludowy.

Lecz nieraz jeszcze spod czapki warszawskiej tramwajarki spogląda na nas niespodzianie smętne „oczy czarne” lub sentymentalno-żławe „niebieskie i duże”.

Lecz tu i ówdzie, choć coraz rzadziej odsoni murarz — ku naszemu przerażeniu — swe „skrawione serce, zdeplane w tłumie”.

Na ogół jednak przezwyciężono w estradzie wulgarną kabaretowość i rewolwą trywializację.

Bardziej groźne jest w tej chwili inne niedomaganie będące ogólną chorobą dziecięcą naszej młodej sztuki. Schematyzm przybierający w imprezach estradowych „Artosu” m.

in. formę mechanicznego doczepiania do programu tzw. wydźwięku, istniejącego niezależnie i obok staroestradowej „przynęty”.

Jednakże mamy już szereg zespołów (jak orkiestra muzyki popularnej typu Utiosowa, ekipa pieśniarska, której trzon stanowi oktet wokalny lub wchodzący w najbliższym czasie w eksploatację zespół tańca ludowego i in.), których repertuar i poziom świadczy o możliwościach wyjścia z impasu.

Niezawodnym drogowskazem właściwego rozwoju estrady jest nieklamana i nieprzebrana po mieszczańsku ludowości, nieomylna busola w poszukiwaniach nowych form i treści artosowych imprez jest rozszerzenie repertuaru estradowego przez sięgnięcie do naszej tradycji literackiej, do naszego skarbcza pośmiertnych i robotniczych, do najlepszych wzorów estrady radzieckiej i demokratycznej ludowej oraz do walczącej poezji, satyry i pieśni krajów kapitalistycznych.

Ażby jednak wędrująca estrada stała się głęboko sięgającym instrumentem oddziaływania i politycznego wychowania, trzeba do programów „Artosu” wprowadzić współczesny, aktualny materiał poetycki, pieśniarski i przede wszystkim satyryczny.

Dla urzeczywistnienia tego celu konieczna jest pomoc autorów i kompozytorów. Trzeba zwiększyć krag pisarzy zainteresowanych estradą.

Trzeba, żeby np. Jerzy Hordyński (por. jego artykuł „O akcji kulturalnej w ułudach i na wczasach” — „Nowa Kultura”, Nr 27) nie ograniczał się do jednostronnej („Piękny koncert melodi operetkowych i filmowych” był również artosowy) krytyki jednego z artosowych programów, zresztą rzeczywiście nienajlepszego, i do hamletowskiego stwierdzenia, że „ile się dzieje w państwie duńskim”. Trzeba, żeby podzielił się z realizatorami polityki upowszechnieniowej (między in. z „Artosem”) swoimi „różnymi pomysłami i planami” i żeby nie „zasnął pogodny, jak dołnośląski krajobraz”.

Stworzenie odpowiedniego kłmatu współdziałania pisarzy i „Artosu” nie jest sprawą tylko estrady, lecz również samych pisarzy, gdyż „Artos” może odegrać poważną rolę popularyzatora współczesnej Literatury.

Z tym łączy się zagadnienie estrady literackiej, u nas prawie że nie istniejącej, a odgrywającej olbrzymią rolę w życiu kulturalnym ZSRR, gdzie po licznych eksperymentach i doświadczeniach została ostatecznie wykuła koncertowa forma recytacji żywego słowa, gdzie tacy mistrzowie słowa jak Orłowa i Żurawlew zostali odznaczeni Nagrodą Stałnowską, a wielu innych wybitnych recytatorów uzyskało tytuły ludowych lub zastużonych artystów. Ten rodzaj literackiej estrady — pelen jeszcze formalistycznych naliotów (chóralna i zespołowa deklamacja), dawno już przewyciężonych w Związku Radzieckim — uprawiają Zespoły Żywego Słowa, przejęte ostatnio przez „Artos” z T.W.P.

Problem literackiej estrady i tzw. Zespołów Żywego Słowa zasługuje, ze względu na swą ważność i perspektywę rozwoju, na omówienie w osobnym artykule. W tej chwili warto jedynie zaznaczyć, że „Artos” w swych planach na najbliższy okres przewiduje stworzenie załazka estrady literackiej, w oparciu m. in. o mające powstać szkolnictwo nowych kadr estradowych.

Niezależnie od wszystkich dotychczasowych błędów i niedociągnięć, powinna estrada małych form odegrać dużą rolę w akcji upowszechnienia kultury i sztuki. Nie mają racji ci, którzy nie widzą dla estrady małych form trwałego miejsca w nowej nadbudowie i uważają ją za przeżytek, przeświadczeni, że potrzebny, lecz właściwie skazany na zagładę wraz z klasą, która ją powołała do życia, z jednej strony jako formę dostosowania sztuki do ograniczonych, estetycznych możliwości trawienych burżuazji, z drugiej jako element kapitalistycznej polityki kulturalnej, dążącej konsekwentnie do ogłupienia mas, zważenia ich horyzontów myślowych, utrzymania ich w ciemnocie i zacofaniu.

Wydaje się, że o losie estrady małych form nie rozstrzygną takie czy inne teoretyki, lecz nasycenie jej repertuaru nową treścią, która rozsądzi przeżyta formę i stworzy nową; lecz konkretne zamówienie społeczne, które jest szczególnie duże na skutek wielowiekowego zaniedbania polskiej wsi i polskiego miasteczka, pozbawionych najprymitywniejszych nieraz urządzeń kulturalnych, co uniemożliwia dotarcie w głąb terenu z pełnym spektaklem teatralnym.

Parafrazując słowa Erenburga, można by powiedzieć, że w złożonej instrumentacji środków artystycznych oddziaływania na człowieka nie wolno porzastać jedynie na instrumentalnych dźwiękach i że dla peł-

nego jej współbrzmienia nieodzowny jest również skromny głos estrady.

AKCJA MUZYCZNO-KONCERTOWA

Zupełnie innego rodzaju są kłopoty Działu Muzyczno-Koncertowego „Artosu”. W tej dziedzinie materiału programowego jest raczej pod dostatkiem. Nie brak również odpowiedniego i na ogół na wysokim poziomie stojącego zespołu wykonawców: wbytnych nieraz instrumentalistów i wokalistów.

Trudności nastroczą raczej: selekcja repertuaru, zestawienie poszczególnych punktów programu i dostosowanie ich do różnego typu odbiorców. Na programowców „Artosu” w tej dziedzinie czeka pułapka elitaryzmu i braku znajomości terenu, jego potrzeb i możliwości percepcyjnych nowej publiczności. Polknięcia o wyboje formalizmu i kosmopolityzmu są już teraz rzadsze.

Na akcji koncertowo-muzycznej mści się antyludowa polityka kulturalna przedwojennego sanacyjnego reżimu, który usiłował zamaskować swą reakcyjną klasową postawę „teorią” o niedostępności „prawdziwej” muzyki dla zwykłego śmiertelnika, o muzyce przeznaczonej ponoć tylko dla wybranych, dla garstki melomanów.

Toteż błędy i osiągnięcia „Artosu” na tym odcinku trzeba w mniejszym stopniu odnieść do zagadnień programowo-artystycznych aniżeli do spraw realizacyjno-organizacyjnych, bardziej mierzyc rezultatami niełatwej walki o powszechnąność muzyki, aniżeli umiędzielną ustawianą programu czy też poziomem wykonawców.

Nie oznacza to oczywiście, że niska frekwencja nie jest często wynikiem źle ułożonego lub siabo wykonanego programu, ale na ogół większość niedociągnięć akcji koncertowo-muzycznej jest powodowana niedowładem organizacyjnym poszczególnych komórek „Artosu” w terenie i zbyt małym stosunkowo doświadczeniem, które mogłoby być podstawą do stworzenia zasad panowania częstotliwości i rozdziału imprez.

Prowadzona przez „Artos” akcja umuzykalnienia ma daleki zasięg i poza wsią dociera już wszędzie: do małego miasteczka, do uzdrowska, bezpośrednio do zakładu pracy i przede wszystkim do szkół, zdobywając dla muzyki coraz więcej nowych słuchaczy.

Wachlarz gatunkowy koncertów jest szeroki, wielobarwny i obejmuje recitale, półrecitale, koncerty instrumentalno-wokalne, muzykę kameralną i audycje chóralne. W przygotowaniu są opero-montaże, które, ze względu na wyjątkową stosunkowo popularność muzyki operowej, powinny gdzieś odegrać rolę tarana w trudnej i długofalowej walce o nową koncertową publiczność.

Do osiągnięć estrady muzycznej przyczynia się coraz częściej stosowana prelekcja, która z jednej strony jest niejako katalizatorem zwiększającym komunikatywność nie zawsze łatwego i zrozumiałego języka muzycznego, a z drugiej strony, poprzez umiejscowienie historyczne utworu muzycznego, uzupełnia proces pogłębiania świadomości człowieka. Oświata słuchacza z muzyką, urealistycznia ją i dosycając tematem, czyni mu ją bliższą. Niestety, akcja koncertowo-muzyczna „Artosu”, mimo że ilość imprez tego typu przekroczy w roku bieżącym 2.000, pokrywa w nieznacznym tylko stopniu zapotrzebowanie.

Sprawa umasowienia muzyki nie osiągnęła jeszcze właściwego miejsca w hierarchii problemów kultury. W zmaganiach z widmami przeszłości, ciemnotą i zacofaniem, w kampanii o przeobrażeniu człowieka pozycja muzyki wciąż jeszcze nie jest frontowa, pierwszoliniowa. Świadczyć o tym mogą choćby trudności, na jakie napotyka „Artos” w akcji zdobywania młodzieży szkolnej dla muzyki.

RUCH OBYWATELSKO-TEATRALNY

W tej dziedzinie rola „Artosu” jest czysto organizacyjna i dystrybucyjna. W roku bieżącym „Artos” zajmuje się jedynie drobnym odcinkiem ruchu obywatelskiego teatrów, natomiast w roku przyszłym przyjmie pełną „dystrybucję” i organizację wszystkich imprez teatralnych, operowych i filharmonicznych w terenie. Jest to słuszne ze względu na potrzebę zsynchronizowania imprez wszystkich rodzajów i równomiernego nasycenia nimi terenu; jak również ze względu na konieczność bardziej celowego i planowego wykorzystania środków transportowych, odgrywających nie małą rolę w akcji upowszechnienia sztuki.

W związku z tym uaktywni się stosunek „Artosu” do repertuaru i produkcji artystycznej teatrów, chociaż ingerencja instytucji w tych sprawach ograniczać się będzie jedynie do składania w Generalnej Dyrekcji TOF wniosków opartych

BARBARA LOEFFLER

Piękna książka o dziele Wita Stwosza

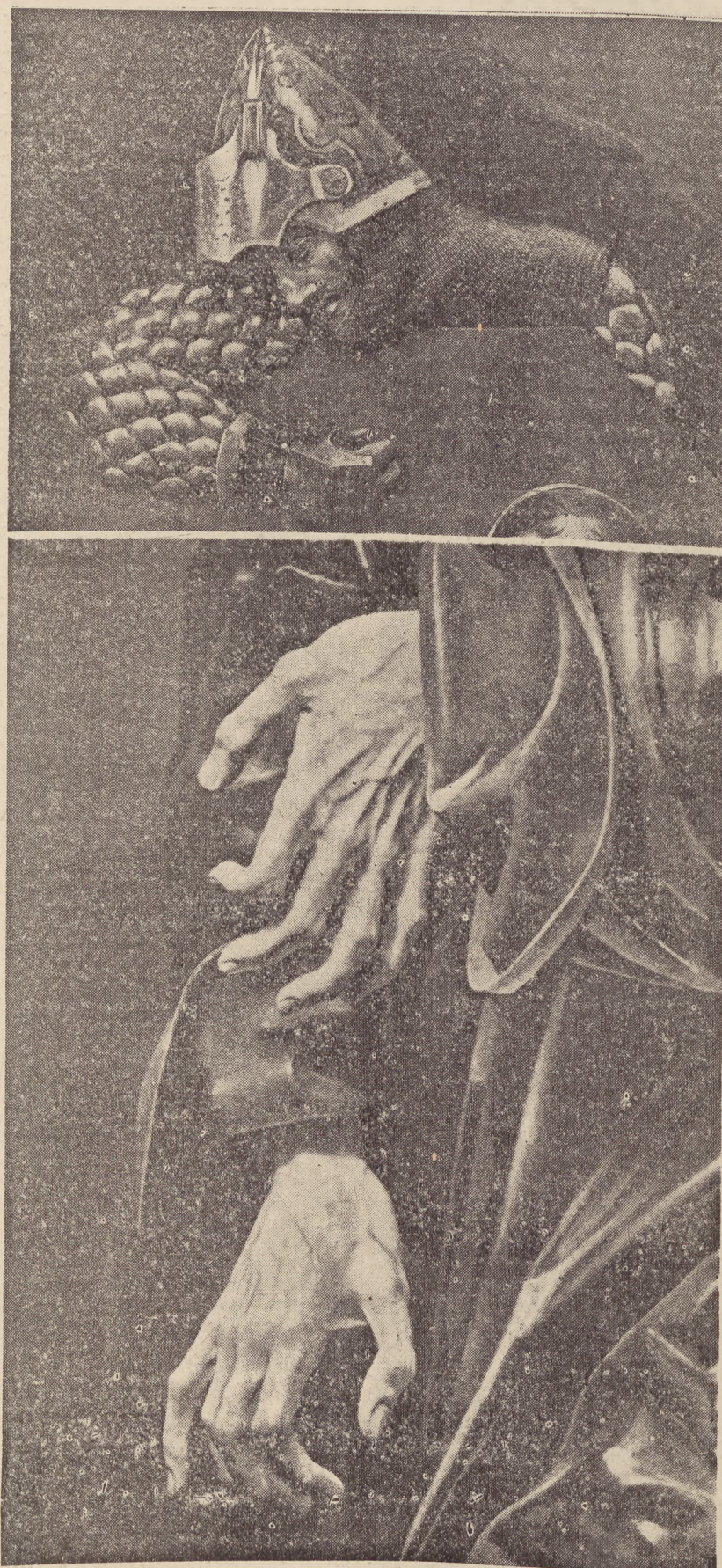
Dzięki zbiorowemu wysiłkowi zespołu uczonych polskich, Państwowy Instytut Wydawniczy może poszczycić się najwspanialszym po wojnie osiągnięciem w zakresie wydawnictw artystycznych. Piękną monografią o ołtarzu krakowskim Wita Stwosza rozpoczyna realizację serii „Mistrzowie”, która przez szeroko rozbudowany cykl publikacji ma ukazać czytelnikowi wielkie tradycje realistyczne sztuki polskiej.

Doskonałe proporcje książki, okładka pełna umiaru, druk przejrzysty i ładny na szlachetnym, kreślowym papierze, podkreślają wagę przedmiotu i stanowią właściwe dopełnienie pięknych reprodukcji Stwoszewskiego dzieła. Nie jest dla nas bez znaczenia, że książka o tak wielkich walorach zewnętrznych została całkowicie wykonana w Polsce, przez polskich fachowców. Zdjęcia fotograficzne Stanisława Kolowca o dużym smaku w wyborze i zakomponowaniu fragmentów podnoszą niejednokrotnie siłę oddziaływania w celu partii dzieła, które, oglądane w naturze, nikną w nadmiarze innych form. W reprodukcjach wielobarwnych drukowanych w Drukarni Wydawniczej w Krakowie przez Józefa Molendę wyczuwa się gruntowną znajomość reproduktowanego dzieła, widoczną w dużej staranności zblżenia koloru reprodukcji do oryginału.

Monografia dzieli się na dwie części. Pierwszą stanowi tekst opracowany przez Tadeusza Dobrowolskiego i Józefa Dutkiewicza, drugą tworzą ilustracje. Tekst stanowi syntezę dotychczasowej wiedzy o twórczości Wita Stwosza i jest próbą pokazania dzieła i twórcy w po-

Wit Stwosz. Ołtarz Krakowski. Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951 r. Tekst — T. Dobrowolski i Józef Dutkiewicz. Zdjęcia — Stanisław Kolowicz. Reprodukcje barwne — Józef Molenda. 149 ilustracji. 20 plasz barwnych.

DETALE Z OŁTARZA WITA STWOSZA



wiązanu z ówczesnymi stosunkami ekonomiczno-społecznymi i kulturalnymi.

Autorki wychodząc z założenia, że znajomość epoki i środowiska pozwoli trafniej zrozumieć i ocenić dzieło, w sposób przejrzysty, a nie uproszczony, zapoznają nas z barwną, bogatą i pełną sprzeczności epoką późnego średniowiecza. Na ożywoonej aktywności Polski, o charakterze międzynarodowym, przyciąga się w wyobraźni czytelnika obraz średniowiecznego miasta, przedmiot obserwacji artysty, z minującą w nim rolą mieszczaństwa, który przez krótki okres czasu wyraża swym postępowym tendencjom we wszystkich dziedzinach życia. Obserwujemy, jak na tle konserwatywnych i zdyscyplinowanych form życia cechowego artystów średniowiecznych radykalizm, ścisły młodej klasie, rozbija idealistyczne konwencje obrazowania, dając przykłady pogiębiającego realizmu, który znalazł szczytowy wyraz w ołtarzu krakowskim.

Również obraz intelektualnej atmosfery Krakowa, z dominującym wpływem przedstawiciela wileńskiego humanizmu Kalimacha, wyjaśnia nam częściowo wyjątkowość świeżości i humanistycznej stosunku do człowieka, jakimi cechuje się dzieło mistrza, który nie izolował się od istniejących postępowych myśli wstępującego Renesansu.

Na tle tego przejrzystego obrazu, opracowanego z dużą poprawnością metodologiczną, ukazującego wieloaspektowość życia, wyrasta jako monumentalne dzieło krakowskiego Mistrza, wplecione drogą słusznego analizy w dorobek rodzimej sztuki Krakowa.

Ołtarz Stwoszewski powstał w drugiej połowie XV wieku na zamówienie mieszczaństwa krakowskiego w okresie jego krótkotrwałej świetności. Tworzony przez wiele lat w środowisku swych zleceniodawców stał się interpretacją plastyczną ich światopoglądu. Wpływy postępowej myśli humanistycznej, przenikającej system scholastyki, kształtowały myślenie okresu średniowiecza. Kształtowały i dążenie do kretniej wiedzy o świecie, stworzenia warunków dla pełnego rozwoju wzrastających tendencji realistycznych w sztuce. Wit Stwosz, wielki artysta, z pasją badacza i odkrywcą, na tle powszechnie stosowanych w sztuce późno-gotyckiej tematów pasyjnych i maryjnych, w dziele swoim precyzyjnie własną wiedzę o otaczającym go świecie, o ludzkie miasto, w którym tworzy i o otoczeniu. Cechą charakterystyczną jest ujawnia twórcy w swoim dziele, jest pewna naiwność w traktowaniu otoczenia człowieka (wewnętrznej, architektura), obok wspaniałej, pełnej realizmu obserwacji samego człowieka, w różnorodnych objawach psychicznego życia. Wynika to ze stanu współczesnej wiedzy przyrodniczej (np. nieznanymi praw perspektywy) przy równocześnie bogatym i krytycznym myśleniu obserwacyjnym. Właściwy przedmiot obserwacji artysty — człowiek — zostaje zdefiniowany wszechstronnie i lepiej niż świat, który mu służy.

Część ilustracyjna daje obraz pełnego sprzeczności świata późnego średniowiecza. Po zapoznaniu z całością ołtarza i jego zasadniczymi elementami, które wyjaśnia nam dzieło od strony ikonograficznej, następują grupy reprodukcji ukazujące kolejno świat duchów, człowieka, jego ubiór i zbroje, wnętrza i architekturę oraz świat roślin i zwierząt. Grupa reprodukcji ukazująca człowieka odkrywa nam pełnię Wita Stwosza jako wielkiego realistę swoich czasów. W świetle nych zdjęciach głów ujawnia się wysoka klasa psychologicznego portretu. Poprzez całą gamę dramatycznych rozwiązań w głowach meandry i pełnych finezji i subtelności głów kobiecych oddaje inteligentnej satyrę ukazującą wady i śmieszność fizjonomii, jako mniej ludzkiego charakteru. Nie mniej żywym elementem ekspresyjnym jak głowy są w dziele Stwosza motywy rąk i nóg ludzkich, scharakteryzowane z precyzyjną dokładnością wrażliwego obserwatora.

KORESPONDENCJA

MŁODZIEŻ O TADEUSZU BOROWSKIM

Jeż wyrazu posiada zestawienie ręk Marii i Apostoła w scenie Zaśnięcia. Jest to fragment koncentrujący w sobie wszystko niemal, co twórca wyraził w grupie obydwoj postaci. W tym miejscu należy jeszcze raz podkreślić zasługę dobrego zdjęcia. Właściwe wyizolowanie fragmentu z całości pozwala często żywiej odczuć miarę piękna i doskonałości dzieła.

W grupach zdjęć reprezentujących otoczenie człowieka daje się silniej odczuć, jak to już było wspomniane, rozbieżność pomiędzy ówczesną wiedzą i spostrzeganiem, pomiędzy idealistycznym schematem świata a żywym, pełnym wrażliwości, notowaniem szczegółów. Mimo to dekoracyjna interpretacja tych zagadnień posiada swoisty urok i doskonale zestrzaja się z momentami realistycznymi. Pełne wdzięku są np. wizerunki zwierząt z fryzu kunsztownej predelli roślinnej, scharakteryzowane z prawdą realistyczną syntetycznie. W motywach roślinnych ukazuje twórcę bogatą skalę możliwości czerpania wątków dekoracyjnych z kilku pospolitych i pomijanych w codziennej obserwacji roślin podmiejskich.

Książka dając wszechstronny i analityczny przegląd dzieła jest szczególnie doniosłym wydarzeniem kulturalnym właśnie obecnie, kiedy

ofiar, po wojennej tułaczce i wieloletnich troskliwych zabiegach konserwatorskich, ma wrócić na swoje stare miejsce w kościele Mariackim w Krakowie. Jedyne możliwości bliskiego kontaktu z szczególnie pięknym detalem w dziele Witolda Stwosza da nam niniejsza monografia, wzbogacając naszą wiedzę o wielkim artyście i o czasach późnego średniowiecza, pozwalając na pogłębioną obserwację bogatych form i treści.

Ten bliski kontakt z dziełem ważny jest również z innych względów. Obecnie, gdy artyści polscy w obliczu nowych zadań społecznych zdobywają nowe, realistyczne środki wyrazu, aby stworzyć sztukę ujmującą w formie sugestywnej i czytelnej całą dramatyczność i piękno naszych czasów, odkrywają niepostępowych tradycji w sztuce rodzimej jest sprawą szczególnie doniosłą.

Ofiara Stwosza odegrał już wielokrotnie zapładniającą rolę w twórczości polskiej. Należy życzyć, aby monografia niniejsza spełniła podobną rolę i dzisiaj, aby dodała artystom odwagi do poszerzenia skali zainteresowań treściowych, aby, tak jak w dziele krakowskiego mistrza, nic co ludzkie nie było im obce.

Barbara Loeffler

Nie dane mi było — jak wielu innym starszym kolegom — znać Tadeusza Borowskiego osobiście tak dawno, abym mógł Go pamiętać jako młodego, o nieskrystalizowanym jeszcze światopoglądzie, chłopca. Poznałem Go już jako dojrzałego pisarza, który całą swą twórczą pasję włożył w walkę z wszystkim co podie.

Było to w ubiegłym roku. Napisałem wówczas kilka opowiadań, których ocenę usłyszeć chciałem w Poradni Literackiej. Chciałem również nawiązać kontakt z Kolem Młodych Pisarzy.

Niestety nikogo nie zastałem. Kiedy wychodziłem już z lokalu ZLP, niezdeterminowany jeszcze, czy odejść czy raczej poczekać, usłyszałem za sobą jakiś głos. Należał on do młodego, krępego mężczyzny. Zapytałem go, kogo szukam i usłyszawszy odpowiedź, nieznajomy przyjrzał mi się bacznie, poczem uśmiechnął się i wymieniając swe nazwisko zaproponował mi, abym pokazał mu moje prace. Razem wyszliśmy na ulicę. Przyznałem się, że czułem się początkowo nieswojo w obecności Tadeusza Borowskiego. Czytałem Jego książkę „Byliśmy w Oświęcimiu” oraz regularnie „Mając kronikę”. Podobają mi się Jego sformułowania.

Niesmiałość moja jednak nie trwała długo. Borowski miał dar

jednania sobie w mig ludzkich serc. Kiedy siedzieliśmy na ławce koło pomnika Mickiewicza i Borowski czytał moje opowiadania, z niecierpliwością czekałem na Jego sąd.

Przestał wreszcie czytać, popatrzył na mnie w milczeniu, a potem zaczął mówić. Krótko, zwięźle, ale nie sucho. Sądy Jego o moich opowiadaniach były bardzo rzeczowe i choć jako młody pisarz w głębi ducha czułem się czasem pokrzywdzony za zbyt ostrą krytykę, nie mogłem jednak nie przyznać Mu racji.

Rozmawialiśmy jeszcze z godzinę o różnych sprawach. Właściwie mówiłem ja, a tow. Borowski słuchał, rzucając od czasu do czasu jakieś pytanie lub uwagę. Gdy zwierzyłem Mu się ze swych zamiarów na przyszłość, tow. Borowski doradził mi, abym poświęcił się pisaniu o wojsku, gdyż primo, ze względu na służbę wojskową znam najlepiej ten teren, secundo, tematyka wojskowa w naszej literaturze leży odłogiem.

Gdy zegnaliśmy się, tow. Borowski ze śmiechem zażądał ode mnie przyrzeczenia, że pierwszą rzecz o tematyce wojskowej, którą napiszę, dam Jemu jako pierwszemu do przeczytania.

Widywałem go dość często od tego czasu na zebraniach Kola Młodych, wieczorach dyskusyjnych. Pa-

mięta Go zawsze wesołego, mającego dla każdego życzliwy uśmiech i radę.

Nie potrafię dać oceny Jego twórczości. Nie chcę rozważać, co Borowski mógłby jeszcze zdziałać, gdyby nie śmierć.

Przez krótki okres mojej znajomości z nim, poznałem go jednak jako człowieka bezkompromisowego, wszystkie swe siły poświęcającego sprawie wychowania nowego człowieka, sprawie budowy socjalizmu.

Nas, najmłodszych pisarzy, boleśnie dotknęła strata człowieka, który swoim entuzjazmem, swoją nieustanną walką i pracą zagrzewał i nas do wytrwałej pracy nad sobą, do twórczości służącej sprawie naszej Ludowej Ojczyzny, sprawie pokoju i socjalizmu.

Nie ma Tadeusza Borowskiego wśród nas. Nigdy już nie będzie z nami gorąco dyskutował nad naszymi utworami, lecz nie czas na rozpacz.

Tow. Kruczkowski powiedział na pogrzebie między innymi: — „...wzrzymy jeszcze mocniej nasze piarskie szeregi, jeszcze silniej zespolimy nasze pióra z wielką sprawą, której Twoje — niezapomniane — pióro służyło: z walką o pokój i socjalizm, z budową Polski Ludowej, z jasną przyszłością naszego narodu i całej ludzkości”.

O tych słowach, tow. Borowski, my, młodzi pisarze, zawsze będziemy pamiętać. Odszedł od nas, lecz pozostało Twoje żywe słowo, pozostała pamięć po Tobie, takim jak byłeś: czujny, surowy dla siebie i innych, pełen entuzjazmu.

Pamięć ta przyswiecać nam będzie w dalszej naszej pracy i walce.

Mirosław Sobczyński

*

Tragiczna wiadomość o śmierci Tadeusza Borowskiego zastała mnie z grupą kolegów wśród nowych, zalanych słońcem gmachów rosnącej socjalistycznej Białegostoku. Jeden z kolegów kupił w kiosku „Sztandar Młodych” i oto, mając uszy jeszcze pełne wesołych okrzyków brygad murarskich, opusłamiem wzrokami wpatrywałem się w trzy nekrologi głoszące tę samą okrutną wieść...

Nie miejsce tu na opisywanie uczuć, jakich doznałem po przeczytaniu tej wiadomości. Borowskiego

NOWE TOMY DZIEŁ LENINA W POLSCE

Nakładem „Książki i Wiedzy” ukazują się w sprzedaży 21-szy i 23-ci tom Dzieł W. I. Lenina.

Dwudziesty pierwszy tom zawiera prace W. I. Lenina napisane w okresie od sierpnia 1914 do grudnia 1915 roku. W pracach tych Lenin wniósł sztandar walki przeciwko wojnie imperialistycznej i międzynarodowej socjalizminizmowi, uzasadnił teorię i taktykę partii bolszewickiej w zagadnieniach wojny, pokoju i rewolucji.

Grupa prac — „Zadania rewolucyjnej socjaldemokracji w wojnie europejskiej”, „Wojna europejska a socjalizm międzynarodowy”, „Wojna a socjaldemokracja Rosji”, „O klęsce własnego rządu w wojnie imperialistycznej”, „Socjalizm a wojna” oraz inne — jest poświęcona głównie ocenie wojny i określeniu zadań partii proletariackiej oraz międzynarodowego ruchu robotniczego.

Znaczną część tomu stanowią prace, które demaskują międzynarodowy socjalizminizm i centrizm, ujawniają przyczyny krachu II Międzynarodówki. Do prac tych należą: „Krach II Międzynarodówki”, „O walce z socjalizminizmem”, „Sytuacja i zadania Międzynarodówki Socjalistycznej”, „Rewolucyjny marksizm na Międzynarodowej Konferencji Socjalistycznej 5 — 8 września 1915 r.” i inne.

Liczne prace wymierzone są głównie przeciwko socjalizminizmowi w Rosji: „Rosyjscy Sudekumowie”, „Pod obcą banderą”, „O sytuacji w socjaldemokracji Rosji”, „Klęska Rosji a kryzys rewolucyjny”, „O dwóch liniach rewolucji” i inne.

W artykule „O hasle Stanów Zjednoczonych Europy”, napisanym w sierpniu 1915 roku, Lenin sformułował genialny wniosek o możliwości zwycięstwa socjalizmu początkowo w kilku krajach lub nawet w jednym, oddzielnie wziętym kraju.

Tom niniejszy zawiera również prace Lenina „Karol Marks”, która daje zwięźle, a zarazem wyczerpującą charakterystykę nauki Marksów.

Do 21 tomu włączono cztery prace po raz pierwszy opublikowane w Dziełach W. I. Lenina. W pracach: „Do Międzynarodowej Komisji Socjalistycznej (ISK)” oraz „List do Vorwärts i Wiener „Arbeiter-Zeitung” — Lenin obnaża imperialistyczną istotę pierwszej wojny światowej i zdradę interesów klasy robotniczej przez wodzów II Międzynarodówki. Prace: „Jaką jednostą proklamował Lenin na szwedzkim zjeździe?” i „List KC SDPRR do redakcji „Naszego Sło-

żegnalem jak kogoś bliskiego, drogiego. A przecież w gruncie rzeczy prawie Go nie znałem. Zanim zerknąłem się z Borowskim w Warszawie w ub. roku, znałem większość Jego prac, napisałem jeden list, na który nie otrzymałem zresztą odpowiedzi i to wszystko.

Już jednak po przeczytaniu pierwszych opowiadań stałem się wielobicielem Jego talentu, później z radością witałem każdy nowy utwór, w którym wypowiadała się Jego pasja bezkompromisowej walki: z wstępnictwem, Jego wiara w człowieka, z niecierpliwością oczekiwałem kolejnej „Mojej kroniki”, której żarliwość, jasność, bezpośredniość, prostotę stylu stawiam obok artykułów I. Erenburga.

Z krótkiego spotkania z Borowskim na zawsze zostanie mi w pamięci Jego otwarta, szczera twarz, Jego jasny uśmiech, proste, jak On sam, rozmowy. Nigdy nie zapomniałem, z jaką radością przyjmowała Go młodzież wyjeżdżająca na studia do ZSRR i krajów Demokracji Ludowej.

Nie widziałem go już nigdy więcej. Jesienią 50 r. gorąco prosiłem tow. Florę Bieńkowską, aby zaprosiła do nas młodych literatów, m. in. i Jego. Wkrótce przyjechał kol. Woroszyłski, później Ochocki, Miller, Borowskiego niestety nie doczekaliśmy się.

Nie doczekamy się już nigdy. Bezmyślna śmierć przerwała jego piękne życie, będące uosobieniem walki o nowego człowieka, o lepszy świat.

Odszedł od nas człowiek czynu, wróg wszelkiej bierności. Został po Nim wspaniały dorobek twórcy — trzeba, aby ten dorobek stał się jak najszybciej wspólną ciałą naszej młodzieży, trzeba, aby obok „Pism Zebranych”, „Sztandar Młodych” w swej bibliotece jak najspieszniej wydał wybór najcenniejszych, najbliższych młodzieży opowiadań i artykułów Pisarza.

Trzeba, aby na życiu Tadeusza Borowskiego uczyli się nasi młodzi pisarze i poeci oddania i umiłowania własnej Ojczyzny, postępowych tradycji narodowych własnej klasy robotniczej.

Trzeba, aby każdy z nas zachował na zawsze w pamięci Tego, który głęboko ukochał ludzkość, który głęboko znienawidził faszyzm, który pisał:

„...ja z całego serca znienawidziłem ten czas, w którym żyliśmy, bo zamiast książki i pióra wrzaskał nam do ręki pistolet i granat, a zamiast uczyć i żyć — kazał nam umierać...” (z przedmowy do „Pewnego żołnierza”).

Jerzy Eljaszak

WŚRÓD KSIĄŻEK

Irena Przewłocka. „Miasto w ogniu”. — (Okładka K. M. Sopoćki). — Warszawa, „Czytelnik”. str. 214 i 4 nłb.

Lektura wspomnień Ireny Przewłockiej o powstaniu warszawskim jest czynnością przykry i męczącą: nie tylko ze względu na rodzaj tematu, lecz i dlatego, że autorka, z jakąś okrutną lubością, piętnuje koszmarną, podejmując po wiele razy wciąż te same, krwawe i tragiczne wątki.

Nie wolno się zresztą temu zbyt wiele dziwić, mając na uwadze osobną sytuację narratorki, która przeżywała powstanie w jednym domu, czy raczej w jednej piwnicy na Mokotowie. Takie zacięcie nie polu widzenia warunkuje monotonię tematyczną, narzuca konieczność powtarzania się i operowania mało urozmaiconymi motywami treściowymi.

W opowiadaniu Przewłockiej nie ma z pewnością myślenia i fikcji literackich. Niezależnie jednak od tych dokumentarnych usiłowań, relacje Przewłockiej cechują przede wszystkim impresyjność i werbalizm.

W swej, liczącej z górą 300 stron, książce zarejestrowała ona bodajże wszystko, co się jej w ciągu tygodni piwnicznego bytu przed oczyma nawinęło. Niewątpliwie, są tu rzeczy istotne, charakterystyczne, typowe; ale są też drobniejsze i szczegółiki bez znaczenia, zacięte, nie mające raczej sensu i przebieg tragedii powstańczej. Groza sytuacji rozciąga się nieraz w natłoku niepotrzebnych słów, tym bardziej, że autorka, z nużącym czytelnika upodobaniem, wciąż analizuje i jak gdyby rozkłada na czynniki pierwsze własne i cudze wrażenia i odczucia.

Zasadniczym jednak niedostatkim wspomnień Przewłockiej jest brak w nich określonego, ideologicznego kresostupa, brak racjonalnego komentarza, który by pozwolił zrozumieć, dlaczego i po co tak okrutnie cierpił stłoczona w piwnicznych schronach ludność, dlaczego i po co ulicami Warszawy płynęły pod ostrzałem hitlerowskim — krew dzieci i podrostków, a stółce piono i wali się w gruzu. Lepidarnie i kłuszące słowa prawdy o tych sprawach padną czasem tylko z ust starożytnego szewca — komunisty, ale jest to zbyt szczupły i skromny komentarz, w stosunku do toczących się rzeką zagłady wypadków.

Około starego szewca — Franciszka, znajdziemy w książce Przewłockiej jeszcze parę innych żywych, zarysowanych postaci, jak np. dziewczyna z podwarszawskiej wsi, Halna, prawdziwie wzruszająca swym prostym, codziennym, ofiarnym bohaterstwem, albo 13-letni warszawski gawrosz, Wiesiek, który w pojedynek zdobywa granatnik hitlerowski, a wkrótce potem traci obie nogi i ginie w płonącym szpitalu. Reszta uczestników tej osobliwej, jaskiniowej — rzecz by można — społeczności, to przeważnie ludzie, scharakteryzowani w sposób konwencjonalny — i różniący się od innych jedynie etykietkami swego zawodu: więc — „fabrykant”, „apiękarz”, „sędzia”, „kołtarnik” itd.

Tym, którzy bezpośrednio i osobiście przeżyli powstanie warszawskie — tę ogromną zbrodnię, uknułką przez „politików” spod londyńskiej gwiazdy, książka Przewłockiej nie przyniesie nic, czego by nie znali i nie doświadczili. Zaś ci, którzy byli wówczas z dala od Warszawy znajdują w tej książce jedynie

wąski i ułamkowy obraz powstania, ponieważ jego dzieje i problematyka nie mogą się zmieścić bez reszty w historii jednej warszawskiej piwnicy, ani w zbiorze choćby najlepiej utrwalonych wspomnień osobistych. Tu potrzebny jest szerszy rozmach epicki, rozleglejszy teren obserwacji i świadome, polityczne spojrzenie. Bez tego wszystkiego, poza ramy pobieżnej wrażeniowości nie wyjdziemy.

bd

Georgi Karasławow. „Synowa”. Tytuł oryginału: „Snacha”. Przekład z bułgarskiego Zofii Wolnik. Okładkę projektował Piotr Baro. Warszawa, „Książka i Wiedza”. Str. 192 i 2 nłb.

Powieść Karasławowa daje dość rozległy obraz wsi bułgarskiej z okresu między dwiema wojnami; osi narracji jest jednak nie konflikt klasowy, który w stanie potencjalnym istniał na tej wsi niewątpliwie, lecz kwestia natury psychologicznej, przedstawiona w swym przebiegu żywo i wyraziście. Bogaty chłop Jurtalan zastał kiedyś na swoim polu małego pastucha, zrywającego kukurydzę. Jurtalan pogonił za uciekającym chłopcem i cisnął weń kamieniem tak nieszczęśliwie, że ugodzony w głowę chłopiec padł martwy. Sumienie nie chciwego kulała nie wdryga się przed tą beczmyślną zbrodnią; ogarnia go natomiast lęk przed odpowiedzialnością, której za wszelką cenę chce uniknąć.

Przy pomocy syna Jurtalan przebiega nocą w lesie zwłoki. Ślady zbrodni zostały starannie zatarte, chłopiec przepadł jak kamień w wodzie — i przez szereg lat nie mając spokoju Jurtalan, pomażającego nieprzerwanie swe kulaćki dostatkowi.

Gdy śmierć skosiła wcześniej Jurtalanowego syna Stojkę, okazało się, że jego żona wie o zbrodni. Obawiając się wydania, Jurtalan usiłuje zapewnić sobie milczenie synowej, którą przedtem wypędził był ze swego domu. Ofiaruje jej — wzamian za to milczenie — kawał pola, ogród itd., lecz synowa za namową rodziców żąda najcenniejszych części kulaćki włości: na to Jurtalan w żaden sposób zgodzić się nie chce. Ostatecznie Jurtalan staje przed alternatywą: albo ustąpić synowej swoje Wielkie Pole, albo też — wyjść naprzeciw niebezpieczeństwu i oddać się dobrowolnie w ręce władz. Zwycięża instynkt skąpcy; posiadaczka Jurtalan wybiera to drugie rozwiązanie i, lecz, że przedawnienie sprawy zabójstwa i przyznania się doń bez przymusu staną się okolicznościami dla zabójcy łagodzącymi.

Wbrew sugestii tytułu, centralną postacią powieści jest nie „synowa” Sewda, lecz sam Jurtalan. Te postacie potraktował autor z największą uwagą i starannością, wyposażając Jurtalana pełnią cech indywidualnych i typowych, czyniąc zeń pełnokrwistego reprezentanta klasy kulaćkiej, zachłannego, chciwego, bezwzględnie w stosunku do rodziny, najemnikowy i sąsiadów. Jedynie strach przed utratą dostatków, wpływów i znaczenia osobistego może zmieknąć duszę Jurtalana, może nadać mu pozory dobroci i ludzkości. Realistycznie pełny i wielostronny sposób przedstawiania tej głównej postaci powieściowej — to bodajże największy sukces autora książki, która poza tym odznacza się dużą zwartością kompozycyjną i przekonującą siłą prawdy życiowej.

Należy też wspomnieć o interesujących nas z wielu względów szczegółach i epizodach o charakterze folklorystycznym, umiejętnie włączonych w tok akcji (wesela chłopieckie, odpust w klasztorze itp.). Być może zresztą, że niejednym z tych rysów obyczajowych, o których pisze Karasławow, należy już do historii albo ulega szybkiej ewolucji. W wywołanej Bułgarii, w warunkach budownictwa socjalistycznego, oblicze wsi zmienia się bardzo gruntownie: kulaćkowie jest likwidowani, powstają coraz liczniejsze spółdzielnie produkcyjne, wieś tętni i kwitnie nowym życiem, a wraz z tym przeobraża się byt i obyczaj jej mieszkańców.

„Synowa” stanowi wartościową pozycję przekładu, tym bardziej, że znajomość literatury bułgarskiej jest u nas raczej niewielka, choć literatura ta posiada wielu wybitnych przedstawicieli zarówno starszej, jak i młodej generacji.

bd

Mikołaj Laszko: „Opowiadania”. Przekład autoryzowany Zygmunta Rotkiewicza. Warszawa PIW, 1950 — str. 275 i 3 nł.

Mikołaj Laszko jest w Polsce pisarzem nieznanym, toteż dobrze się stało, że przekład jego opowiadań poprzedzony został notą informacyjną zawierającą główne dane o życiu i twórczości autora. Laszko, urodzony w r. 1884, należy do starszej generacji pisarzy radzieckich; był on jednym z tych, którzy pod przewodnictwem Maksyma Gorkiego zakładali fundamenty realizmu socjalistycznego w literaturze rosyjskiej, biorąc zarazem czynny udział w walce mas proletariackich przeciwko reżimowi carskiemu. W czasach przedrewolucyjnych Laszko pracował ciężko jako robotnik fabryczny na południu Rosji, poznając bezpośrednio i dogłębnie niedolę człowieka pracy w ustroju kapitalistycznym. Areszt, więzienia i zsyłki były dla początkującego pisarza dodatkową szkołą życia i walki.

Nieprzeciętne talenty literackie Laszki mogły się rozwinąć i okrzepnąć dopiero po Wielkiej Rewolucji Październikowej, gdy pozbywszy się kajdan i knebli caratu Laszko zajął się zawodowo działalnością pisarską. Najdojrzalsze i najważniejsze jego utwory powstały już w czasach władzy radzieckiej. Z opowiadań zawartych w omawianym tu zbiorze, ułożonych w porządku chronologicznym, najwcześniejsze nosi datę 1926-1927.

W zgodzie z tą kolejnością pozostać również chronologia tematyki. Pierwsze opowiadanie, zajmujące rolę całego tomu, ma tytuł „O krok od śmierci” i związane jest ściśle z podziemną walką rewolucyjną, prowadzoną przeciwko carskiemu uciśkowi na terenie osiedla robotniczego. Opowiadanie następne pt. „Opowieść o kajdanach” sięga już swą akcją do czasów Października i wojny domowej. Dwa dalsze — również dotyczą okresu walk z bandami kontrrewolucyjnymi. Wreszcie pozostałe cztery mają tematykę już mniej „historyczną”, bo opartą na motywach przeszłości niezbyt odległej wojny z najazdem hitlerowskim i pierwszych lat powojennej odbudowy.

W Nowikow, autor wstępnej noty informacyjnej, słusznie podkreśla, że Laszko doskonale zna życie robotnicze i że najlepsze jego opowiadania, tętniące prawdą życiową, przedstawiają bohaterów ze środowiska robotniczego. Wszystkie charaktery-

styczne cechy twórczości Laszki, przepojonej na wskroś bojową gotowością służenia klasie robotniczej i jej wyzwoleniczym celom, znajdziemy w opowiadaniu „O krok od śmierci”, którego bohaterem jest młody robotnik, Fiodor Żaworonkow, jeden z tych, co — jak Paweł Własow z opowieści Gorkiego — trudną i zmienną drogą doświadczeń osobistych osiągnęli świadomość klasową, a zdobywszy ją, oddali się niepodzielnie sprawie rewolucyjnej walki z carskim bezprawiem i przemocą. Psychologiczny wizerunek Fiodora odznacza się wielką prawdziwością, wnikliwością i precyzją konturów. Rozwój akcji tego opowiadania, w którym nie brak epizodów wręcz znakomitych, jak np. badania żandarmskie, głódówka w więzieniu i inne, świadczy o głębokiej znajomości tych ponurych realiów, o darze obserwacyjnym i pisarskich kwalifikacjach autora.

Mocno utrwala się z pewnością w pamięci czytelnika takie opowiadania, jak „Opowieść o kajdanach”, „Ściana zdziśniętych” lub „Znak Zachara Kahljkowa”, w których pełny wyraz znajdują cnoty i zalety prostego człowieka, Rosjanina, oddanego na śmierć i życie świętej sprawie wolności mas pracujących i utrwalania potęgi wielkiej socjalistycznej ojczyzny. Zbiór opowiadań Laszki — to w literackim skrócie duży kawał najnowszej historii Rosji i ludu rosyjskiego. Ten skróty pozwala ocenić ogrom ustrojowych i społecznych przemian, dokonanych na ziemi rosyjskiej dzięki Rewolucji Październikowej i daje miarę duchowego wzrostu ludzi radzieckich, niezłomnych i zwycięskich zarówno w czasie burz wojennych, jak wśród twórczej, pokojowej pracy.

bd

N. Stęczyński: „Saperzy” — tłumaczyła z rosyjskiego Janina Bukoleka. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951 — str. 119.

Rzecz się dzieje w 1942/43 roku na jednym z odcinków frontu. Zadanie oddziału saperów radzieckich polega na podkopaniu się pod opanowane przez hitlerowców wzgórze i wysadzenie go w powietrze. Męstwo, wytrwałość i samozaparcie się saperów odnosi pełny triumf — po gruzach unieszkodliwionych hitlerowskich fortyfikacji ruszają do szturmów czołgi i piechota. Saperzy pomagają im w natarciu.

W tych skromnych ramach powieściowego wątku zamknął autor wiele głębokiej treści. Pod płaszczyznami żołnierskimi dojrzał i potrafił ukazać nowych ludzi radzieckich, ożywionych socjalistyczną moralnością. Pobyt na froncie nie zrywa więzów z resztą społeczeństwa radzieckiego. Listy od nieznanych towarzyszy z głębi kraju wzmagają ich zapal bojowy, a produkcyjny wysiłek zaplecza staje się bodźcem do rozwinięcia frontowego współzawodnictwa. Przykład produujących jednostek porywa za sobą maruderów, ludzi, którzy nie dostrzegali innym kroku. Mołomrem przemian, źródłem hartu i organizatorem zwycięstwa jest Partia.

Mimo że książka opowiada o życiu żołnierzy, nie jest ona przeznaczona wyłącznie dla wojskowych — przeczytają ją z zainteresowaniem wszyscy wrażliwi na porównanie pełno procesu kształtowania się nowego człowieka.

bk

Edmund Jan Osmańczyk

MŁODE NIEMCY

str. 162 zł. 11.—

„C Z Y T E L N I K”

Wkrótce do nabycia
w księgarniach „Domu Książki”

EDMUND BORA

W IRANIE

Na całym terenie Środkowego Wschodu, łącznie z Indiami, język i kultura perska odgrywały do niedawna, a w znacznej mierze jeszcze teraz odgrywają rolę nie mniejszą, a bodajże większą od tej, którą odgrywał przez szereg wieków język francuski w Europie.

Brityjszczyk, który wyjeżdżał do Indii, miał prawie zapewniony awans, jeżeli znał perski. Dyplomata, który wyjeżdżał do Afganistanu, musiał do 1935 r. pamiętać o tym, że jedzie do kraju, w którym językiem oficjalnym jest perski. Dopiero w 1935 r. język afgański ogłoszony został tam oficjalnym językiem państwowym. Każdy szanujący się inteligent afgański zna i włada swobodnie językiem perskim. Stanowczo Irańczycy nie mają powodów do „czapkowania” przed tzw. zachodem.

Początki XX w. zaznaczają się w dziejach Iranu rozkładem aparatu państwowego, upadkiem życia gospodarczego w kraju i utworzeniem t.zw. Perskiego Towarzystwa Naftowego. Z górą pięćdziesięcioletnia panowanie kapiłatu brytyjskiego w Iranie zapisało w dziejach Iranu smutną i tragiczną kartę. Anglo - Perskie Towarzystwo Naftowe, które od 1935 r. w związku z przemianowaniem kraju z „Persji” na „Iran”, nosi nazwę Anglo - Irańskiego Towarzystwa Naftowego, stało się faktycznym władcą kraju. Droga korupcji, intrygi i „zwykłych” mordów Anglo-Irańskie Towarzystwo Naftowe wpłynęło na skład Medżlisu (parlamentu), rządu irańskiego i na ich politykę.

W tym samym czasie przynajmniej 15 mil. ludności Persji żyła i żyje w najokropniejszej nędzy. Prawie 90 proc. ludności stanowią analfabeci. To oczywiście nie martwiło brytyjskich sfer rządzących. Im większa nędza, im większe nieuczciwo milionowych mas robotników, chłopów i rzemieślników, tym słabsze niebezpieczeństwo oporu przeciw rządowi kapiłatu zagranicznego. Takie było rozumowanie kierownictwa brytyjskiej polityki kolonialnej.

Pamiętać zaś trzeba, że naród irański nie jest nowicjuszem w dziedzinie walk społecznych. Iran był terenem silnego ruchu antyfeudalnego jeszcze na przełomie XIX i XX wieku. W 1905 r. wielki masowy ruch ludu irańskiego zmusił ówczesnego szacha do zwołania pierwszego parlamentu. Północne prowincje Iranu były następnie po pierwszej wojnie światowej terenem silnych walk rewolucyjnych, które bezpośrednio wiązały się ze zwycięstwem Rewolucji Październikowej.

Kiedy w marcu b. r. parlament irański zmuszony był pod rzeczywiste potężnym naciskiem mas ludowych przyjąć uchwałę o nacjonalizacji przemysłu naftowego, brytyjskie sfery rządzące rozpoczęły

silną kontrofensywę. Atak wymierzony został z jednej strony przeciw nieudolnym sojusznikom — teherańskim klikom rządzącym, które zawiodły oczekiwania Londynu i nie potrafiły przeciwstawić się żądaniom ludu, a z drugiej strony przeciw imperializmowi amerykańskiemu, który coraz zdecydowanie brał pod swoją opiekę władców teherańskich. Kierownictwo amerykańskiej polityki zagranicznej, współpracując ściśle ze „swoimi” towarzyszami naftowymi, zamierzało, jeśli nie całkowicie wypchnąć z Iranu Anglików, to w każdym bądź razie wzmocnić tam swoje wpływy.

W pierwszych dniach konfliktu propaganda brytyjska straciła głowę. Z niechęcią i rozbawieniem słuchacze w Teheranie i Abadanie wysłuchali w marcu b. r. pogadanki z Londynu na temat: „Czy w Anglii urzędnicy biorą łapówki”. Autor pogadanki długi i ciekawie wykazywał, że w Anglii urzędnicy są nieznęknieni.

Sens zaś jego wywodów polegał na wskazaniu słuchaczom irańskim, że ich administracja jest przekupna i skorumpowana i że z jej winy w kraju panuje nędza.

Słuchacze perscy niewątpliwie zgadzali się z poglądem, że ich biurokracja jest skorumpowana, ale wiadomo przecież w Iranie, że odpowiedzialność za skorumpowanie administracji w dużej mierze ponosiła właśnie Anglia.

W miarę rozwoju wypadków Amerykanie — przestraszeni się konsekwencji nacjonalizacji przemysłu naftowego w Persji, zarówno pod względem społecznym jak i ze względu na odgłos tej chwały w krajach sąsiednich, gdzie koncesje naftowe mają towarzystwo amerykańskie — zaczęli gwałtownie nalegać na rząd teherański, żeby się porozumiał z Anglikami. Stojący obecnie na czele rządu dr Mohamed Mossadik, który znany jest jako zwolennik tzw. orientacji amerykańskiej, zgodził się chętnie przyjąć mediację amerykańską. Wiadomo, że jako mediatora Truman wyznaczył swego doradcę Harrimana. Imperializm brytyjski znalazł się w poniżającej roli podobecznego Waszyngtonu. Fakt ten, który świadczy o dalszym osłabieniu Imperium Brytyjskiego, a jednocześnie stanowi źródło dalszego wzmocnienia przeciwnictwa między sferami rządzącymi USA i Wielkiej Brytanii, jest godny zanotowania.

Z coraz większą mocą głos w sprawach Iranu zaczyna jednak zabierać sumi Irańczycy, którzy nie chcą, żeby imperializm angielski i amerykański łagodziły swoje sprzecznosci ich kosztem. Potężne strajki, manifestacje antyimperialistyczne z udziałem wielu dziesiątków tysięcy osób, rosnąca popularność pracujących w podziemiu ludowej partii „Tudeh” — partii mas (Tudeh po persku znaczy „masa”) wskazują, że Iran nie zamierza zadowolnić się dla satysfakcji „romantyków” anglosaskich rozpamiętywaniem chlubnej przeszłości...

Edmund Bora



PARTNERZY GRY

Amerykański balsam

Reakcyjni studenci norwescy podarowali Marshallowi w hołdzie za jego zasługi w podążaniu do woj-



ny — rasowego psa. Podarunek wręczono rzecznikowi paktu atlantyckiego z wielką pompą przed gmachem Pentagonu (amerykańskiego ministerstwa wojny). Stoi sobie więc Marshall z pieskiem na rękach, otoczony gawiedzią, uśmiechnięty i rozradowany, snując myśli o losach ziemskiego padouf. Potem wygłasza krótki speech następującej treści:

„Świata wiodłoby się o wiele lepiej, gdyby ludzie zachowywali się tak, jak dobrze wychowane psy. Gdyby świat był tak dobrze wychowany jak to szczenię, mielibyśmy mniej powodów do niepokojów”.

Marshall znalazł cudowny lek: aportować!

rk

Jeszcze jeden „bojownik o pokój”

Hitlerowski sekretarz stanu Ernst von Weizsäcker ogłosił pamiętnik,

w których usiłuje wmówić w czytelników, że był przeciwnikiem Hitlera i filarem niemieckiego ruchu oporu. Jeśli Halder, Guderian, Gisevius, Schacht byli antyfaszystowskimi partyzantami, to dlaczego by Weizsäcker miał być gorzej? Angielski historyk Taylor pisze na marginesie pamiętników Ernsta von Weizsäckera w „New Statesman and Nation”:

„Hitler był zapewne czarodziejem. Najbardziej zadziwia, że przeprowadził swoje plany wojenne, chociaż wszyscy jego współpracownicy, prócz jednego generała Remera, byli przeciwko niemu. Bankierzy, przemysłowcy, feldmarszałkowie, szef sztabu głównego, szef wywiadu, wszyscy usiłowali mu stanąć w drodze, a jednak przezwyciężył ich opór. Co za geniusz! Ernst von Weizsäcker jest najmłodszym kandydatem na opozycjonistę, który o mało nie obalił Hitlera... Aż młodsi biorą na myśl o tym przeciwniku wojny, który rozpoczął wojnę wygodnie na Wilhelmstrasse



i tak samo wygodnie skończył ją jako niemiecki ambasador przy Watykanie. Jego opozycja przeciw Hitlerowi była tak dyskre-

na, że nikt jej nie zauważył, najmniej zaś Hitler”.

kst

Prawdziwi roboczarze

Na sesję Międzynarodowej Organizacji Pracy w Genewie Anglia wydelegowała sześciu przedstawicieli.



cieli. Oto ich nazwiska: rząd reprezentowali dwaj urzędnicy — mr G. Buckland i mr K. Newis, pracodawców — mr N. Longley i mr R. Kean, robotników zaś — prosię nadstawia ucha — Sir Luke Fawcett i Sir Richard Coppock. Oto skład delegacji według brzmienia komunikatu brytyjskiego Ministerstwa Pracy.

Tak więc robotników brytyjskich spotkał nie lada zaszczyt. Ich praw w Genewie „bronili” dwaj arystokraci. Fawcett i Coppock byli dygnitarzami angielskich związków zawodowych, a za zasługi na polu rozwoju „socjalizmu” zostali uszlachceni przez jego królewską mość. Nie należy wątpić, że dwaj proletariacy baronci stanęli w Genewie na wysokości swego zadania.

kst

Z wystawy karykatury radzieckiej



Plan Marshalla w działaniu.

Kukryniksy



A. G. Kaziurenko
Nowa „Wolność” w Nowym Świecie.



Kukryniksy

Po powrocie z Londynu

Jak się wiodło przedstawicielom Anglii i Francji? Wcale im się nie wiodło... Ja ich wiodłem.



B. Jefimow
„Pretendenci” do panowania nad światem

KSIĄŻKI NADESŁANE

I. MARKSIZM—LENINIZM

A. Azizjan. O pracy Stalina „Marksizm a kwestia narodowa” Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 81, 2 zł.

IV. NAUKI HISTORYCZNE

Włosna Ludów w Europie Czesław II. Zagadnienia Ideologiczne Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 442, 2 zł.

V. GEOGRAFIA. KRAJOZNAWSTWO. PODROŻE.

St. Lenartowicz i K. Sayss-Taborski. Beskid Śląski, zwłeczki i mały ilustrowany przewodnik wczasowy turystyczny i uzdrowiskowy. Warszawa, Spółdzielczy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 103, 1 zł, 1 kpl.

Czesław Piskorski. Pomorzanie Zachodnie, Ilustrowany przewodnik wczasowy turystyczny i uzdrowiskowy. Warszawa, Spółdzielczy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 140, 1 kpl.

Tadeusz Zwoliński. Tairry polskie. Przewodnik po środkowej części tairry wysokości zachodniej w okolicy polskiej Warszawa, Spółdzielczy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 159, 1 zł, 2 kpl.

VIII. LITERATURA PIĘKNA

Lesław Bartelski. Ludzie z zera (cz. 1). Powieść Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 278, 2 zł.

Elwinda Bolstad. Spekulant. Powieść. Przekład autorzowany z norweskiego. Tadeusza Powiśkiego. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 230, 2 zł.

Willi Bredel. (Biblioteka Zolnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 44). Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 82, 4 zł.

Willi Bredel. Młodziacy wieś. Opowiadania. Przekład autorzowany z niemieckiego Juliana Popławskiego. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 212, 4 zł.

Tomasz Domaniewski. Nowa wieś. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 58, 2 zł.

Dymitr Turmanow. Czapałew. Turmanowicz z rosyjskiego Jerzy Putrament. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 278, 4 zł.

Maksym Gorki. Jegor Butyczow i inni. Sceny dramatyczne. Przetłumaczył i opublikował Stanisław Bruz i Stanisław R. Dobrowolski. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 126, 4 zł.

Maksym Gorki. Wrogowie. Sceny dramatyczne. Przetłumaczył z rosyjskiego Jerzy Stawar. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 138, 4 zł.

Józef Hen. Ziemia dobrej nocy. Wydanie II. (Biblioteka Zolnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 44). Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 71, 1 zł.

J. Izoray. U podnóża m. Powieść. Czajka. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 190, 2 zł.

Maria Kamińska. Kraj, który widział nas w przyszłości. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 104, 2 zł.

W. Kataljew. Szwadron. Wydanie II. Przekład z rosyjskiego. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 167, 1 zł.

Kazimierz. Major gwardii. (Biblioteka Zolnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 44). Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 89, 7 zł.

Hans Leberecht. Nowe życie. (Biblioteka Zolnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 44). Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 87, 3 zł.

Borys Lawrenlew. Opowiadania. Przetłumaczył z rosyjskiego Tadeusz Ever. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 342, 2 zł.

Jerzy Marek. Marsz w cieniu. Powieść. Tłumaczył z czeskiego Jerzy Stawar. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 147, 1 zł.

M. Maricz. Zorza polarna. Tłumaczył z rosyjskiego Anna Jakubowska. Warszawa, „Prasa Wojskowa”, 1951, str. 485, 3 zł.

Włodzimierz Matow. W leśnym pachu. Przetłumaczył z rosyjskiego W. K. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 314, 2 zł.

Wanda Meier. Ameryka szuka chłur. Powieść. Warszawa, „Prasa Wojskowa”, 1951, str. 164, 4 zł.

Wiktor Monastyrski. Bohater. Zwiast. Radzieckiego. Mikołaj Wiktor. (Biblioteka Zolnierza. Seria III. Opowiadania o walce i pracy). Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 62, 2 zł.

Patriot i zdrajca. (Biblioteka Zolnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 44). Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 89, 7 zł.

Jan Petersen. Jedyné wyjęcie. (Biblioteka Zolnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 44). Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 77, 3 zł.

A. Pierwieniew. Honor młodości. Tom II. Tłumaczył z rosyjskiego Jerzy Stawar. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 333, 4 zł.

Henryk Sienkiewicz. Za chlebem. (Biblioteka Zolnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 44). Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 120, 2 zł.

Telemnia. „Kłótniejszego” (Biblioteka Zolnierza. Seria III. Opowiadania o walce i pracy). Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 72, 6 zł.

Mark Twa'n. Opowiadania i humory. (Biblioteka Zolnierza. Seria I. Popularne Wypisy Literackie. 44). Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 117, 3 zł.

Jules Valles. Jakub Vintras. 2. Dział. Wstęp. Tadeusza Zdzienickiego. Bova. Przedmowa Gastona Monneta. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 280, 2 zł.

Stjepan Zlobin. Wyspa. Przetłumaczył z rosyjskiego Nadziei Druckiej i Karola Koźmickiego. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, cz. I, str. 386; cz. II, str. 415, 1 zł.

Narcyza Zmichowska. Poganka. (Biblioteka Pisarzy Polskich i Obcych). Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 151, 1 zł.

IX. LITERATURA DLA DZIECI I MŁODZIEŻY

S. Bytowski. Włosna na Kamczatce. Tłumaczył z rosyjskiego Marian Piech. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 186, 2 zł.

Siadek dzieciom. Na podstawie opowiadań czeskiego opracowała Hanna J. Warszawa, Ilustrował A. Zabranowski. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 50, 1 zł.

Wyzwolenie. Warszawa, Ministerstwo Obrony Narodowej, 1951, str. 203, 7 zł.

X. NAUKA O LITERATURZE

St. Ryszard Dobrowolski. Jakub i inni. „Młodzieńcy piękni i posępni”. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 247, 3 zł.

Mieczysław Jastrun. Spotkanie z S. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 233, 3 zł.

Irena Krzywicka. Żywot uczonego O. Warszawa, Państwowy Instytut Wydawniczy, 1951, str. 191, 3 zł.

A. Roskin. Maksym Gorki. Przekład z rosyjskiego Natalii Olszewskiej. Warszawa, „Książka i Wiedza”, 1951, str. 142, 3 zł.

Redaguje Zespół. Adres redakcji ul. Wiejska 14, I ptr., tel. 4-01-80, w. 95 oraz bezpośredni 7-36-23. Adres administracji ul. Wiejska 12, tel. 4-01-80... 90
Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch” Oddz. w Warszawie, ul. Srebrna 12, tel. 804-20 do 25. Warunki prenumeraty: Miesięcznie zł 3.—, kwartalnie zł 9.—, półrocznie zł 18.—, rocznie zł 36.—. Należność za prenumeratę wpłacać do PKO I-15230. Wpłaty na prenumeratę indywidualną: Warszawa, Plac Trzech Krzyży 16; powyżej 10 egzemplarzy — ul. Chmielna 25. Cena ogłoszeń: 5 zł 40 gr za 1 mm szerokości tamu. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Ogłoszeń RSW „Prasa”, Warszawa Poznańska 38, konto PKO I-5589/110, tel. 7-28-05. Rekopisów niezamówionych redakcja nie zwraca.

Zakłady Drukarskie i Wklesiodrukowe RSW „Prasa” Warszawa, ul. Marszałkowska 3/5.